PISMA
ZOFII
[illegible]RÓW
SZEPTY-
CKIEJ

1



Z olejnego portretu malowanego przez Hrabinę Zofię Szeptycką.



Zofija z Fredrów Szeptycka

Z oleinego portretu malowanego przez Hrabinę Zofię Szeptycką.

PISMA

ZOFII Z FREDRÓW

HR. SZEPTYCKIEJ

TOM I.

W KRAKOWIE
CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU«
1906

Odbitka z „Przeglądu Polskiego“

NAKŁADEM ADMINISTRACYI »PRZEGLĄDU POLSKIEGO«.

PRZEDMOWA

Po raz pierwszy wychodzą w druku pisma, (niektóre tylko), pani Zofii z Fredrów hrabiny Szeptyckiej. Wypada dodać do nich parę słów objaśnienia. Przystępuję do tego zadania z żywą wdzięcznością dla tych, którzy mi je powierzyli, ale nie bez niedowierzania do siebie samego. Im wyższe wyobrażenie o osobie o której ma się mówić, im wyższa dla niej cześć, tem większe pragnienie, żeby o niej mówić godnie, i tem większa obawa, że się tego zrobić nie zdoła. Cóż dopiero kiedy ma się mówić o osobie bardzo niepospolitej, ale ogółowi wcale nie znanej. Pani Szeptycką głośną i sławną nie była, ale była jedną z istot najwyższych i najszlachetniejszych w swojem pokoleniu: byłaby taką w każdem, choćby najbardziej „ludźmi błyszczącem", ludźmi znakomitymi i cnotliwymi. Nie wsławiona przed całym światem, taką dobrze zasłużoną sławę miała u tych, którzy ją znali. Kiedy więc jeden z takich ma odsłonić przed innymi, nieznającymi, jakiś choćby mały ślad jej umysłu i jej duszy, raduje się niespodziewaną szczęśliwą sposobnością, ale czuje, że ta sposobność go obowiązuje, i lęka się, czy odpowie powinności, jaką ona na niego wkłada. Nieznającym, niewiedzącym, trzebaby powiedzieć, jaką była ta, co te karty pisała. Kto ona była, to powiedzieć łatwo — jaką była, to chyba najukochańsi, najbliżsi jej, dobrze wiedzieć i ocenić mogli. Dalsi znali główne rysy tej pięknej postaci, główne pierwiastki tej wyższości — małą tylko część skarbów, zawartych w tym umyśle i w tej duszy. Ale wiedzą jednak więcej od tych, co o pani Szeptyckiej ledwo coś słyszeli, i wiedzą o niej bardzo mało lub nic wcale; więc bez pretensyi,

i bez nadziei skreślenia jej prawdziwego i podobnego wizerunku, mogą przecież dać o niej jakieś ogólne wyobrażenie.

Pani Szeptycka pisywała, nawet niemało; nie drukowała nigdy nic. Dlaczego? Bo pisywała zawsze, i jedynie, dla siebie i swoich. Ktoś potrzebował jakiejś rady, albo jakiejś pociechy, albo rozjaśnienia jakiejś kwestyi, ona sama potrzebowała wywnętrzyć się przed takimi blizkimi i kochanymi, wyrazić swoje uczucie, wytłómaczyć swoje pojęcie i swój sposób widzenia rzeczy, wytłomaczyć swoje zasady, albo chciała — zawsze dla swoich tylko — po śmierci osoby drogiej utrwalić jej pamięć, która do historyi nie przejdzie, ale w rodzinie zostać powinna. Każde pisanie było spełnieniem jakiegoś obowiązku macierzyńskiego lub przyjacielskiego; nie było w niem nigdy nic literackiego, choć mógł być pociąg do pisania i talent. Wszystko było poufne, rodzinne, prawie wszystko przygodne, okolicznościowe, wywołane jakiemś zdarzeniem lub wrażeniem, nic dla obcych, tem mniej na pokaz. To jeden powód. Drugim była ta szlachetna wstydliwość duszy, która swoje uczucia ma dla swoich i dla siebie samej, ale nie wystawia ich na widok publiczny — zwłaszcza kiedy jest duszą niewieścią. Wrodzony instynkt i całe wychowanie, nauki rodziców, wydały to przekonanie, to prawidło życia, że życie niewiasty powinno się zamykać w domu, w rodzinie. Stąd niech ono promienieje na świat, niech się ujawnia w żywotach i cnotach dzieci, ale niech nie wychodzi z domu, niech się nie odzywa głośno, niech nie występuje na żadnej innej scenie. Tego prawidła trzymała się pani Aleksandrowa Fredrowa przez całe życie, i to wszczepiła w córkę. Wreszcie powód ostatni, a niemniej ważny, to estetyczna wykwintność tej natury, to wstręt do pretensyi, do zarozumiałości, do pozoru bez treści, do wszystkiego, co autorkę, literatkę, może zrobić i czasem robi śmieszną; i to wzgląd, choć podrzędny, który panią Szeptycką wstrzymywał od drukowania. Ale żywy umysł i żywe uczucie, potrzebowały się wyrażać i udzielać; kwestyę lub sprawę, która ją silnie zajęła, musiała określić, sformułować sama przed sobą i przed drugimi. Stąd liczna i ciągła korespondencya z krewnymi i przyjaciołmi, a w niej co krok spostrzeżenia i uwagi, naj-

częściej religijne i moralne, świetne, uderzające głębokością i bystrością. Wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów codziennego życia, dostarcza do nich powodu, i najzwyklejszy list, donoszący o tem, co się w domu dzieje, kto zdrów a kto słaby, często jest zbiorem prawd mądrych a niespodziewanych.

Jeżeli pisma i listy pani Szeptyckiej wyjdą kiedy w druku, co o nich powiedzą krytycy, jak ocenią ich autorkę? Powiedzą zapewne nieraz, że za dużo tam Pana Boga, wiary, pobożności, nauk moralnych, a nie dosyć sztuki, umiejętności i effektu. Ale prosty człowiek powie, że jest w nich wyższość umysłu i jego wybitna niezaprzeczona oryginalność, że jest szczerość myśli, uczuć, wrażeń, ich czysta, świeża, prawie rzec można naiwna, prawda. Powie dalej, że ta szczerość myśli i uczucia powoduje w sposobie pisania wielką prostotę. To nie jest autorka, rozmyślająca nad tem, żeby pisać pięknie i co na to ma zrobić; to jest dusza, która pod pewnem wrażeniem chce i potrzebuje powiedzieć co myśli i czuje, a wypowiada tak jak czuje i myśli, nie pytając, czy pisze lepiej, czy gorzej. Ale oprócz szczerości i prostoty ma wrodzony zmysł, takt, dobry smak, talent, i cokolwiek pisze, zawsze napisze dobrze. Dalej zobaczy prosty człowiek w tych pismach wdzięk, na który składa się, oprócz prostoty i szczerości, żywość wyobraźni, samorodność i oryginalność spostrzeżeń, żartów, humoru. Nad tem wszystkiem dopiero unosi się to, co w tej duszy najwyższe, jej pojęcie życia i tego życia praktyka: miłość męża, dzieci, rodziców, krewnych, przyjaciół, bliźnich, ojczyzny, jednocząca wszystko i wszystkich w miłości Boga, prowadząca i podnosząca do Niego wszystko co kocha na ziemi, myśl o Bogu i Jego służbie, zawsze ciągle przytomna w każdem zdarzeniu, stosunku, cierpieniu, życzeniu. Ona wszystko przenika, ożywia, wszystko oświeca blaskiem a znamionuje cechą rzadkiej na tym świecie wysokości duchowego życia. Tam, gdzie literat czy krytyk znalazłby za wiele pobożności i moralnej nauki, tam prosty człowiek schyla głowę pokornie, z podziwieniem i czcią dla istoty, w której rozpoznaje widoczne znamiona doskonałej chrześciańskiej cnoty.

W tej cnocie nic surowego, twardego, pedantycznego. To natura uczuciowa, skłonna do zapału, ale nie mniej do wszelkiej litości, czułości, rzewności. To natura macierzyńska zwłaszcza, która poradzi, zażąda, upomni, ale w tej samej chwili, w tem samem słowie pocieszy, ukoi, popieści. To przytem umysł bujny, rzutny, samodzielny, który jak sam dla siebie nie zniósłby pedantycznych reguł i formuł, tak i drugim ich nie nałoży — one go nudzą i niecierpliwią. To wreszcie usposobienie pogodne, wesołe, w którem wszystkie a liczne doświadczenia i cierpienia nie zdołały zatrzeć zupełnie tego miłego, rzadkiego, wrodzonego daru. Żadnej przesady ani drobiazgowości w pobożności i jej praktykach, w żądaniu ich od siebie samej czy od drugich. Jej cnota żąda wiele i mierzy wysoko, ale wie i rozumie, że różne są warunki i stosunki życia, a w ludziach różne usposobienia, i że nie wszystkich stać na lot wysoki i równy: więc z pobłażaniem patrzy na zniżenie lotów, a z radością i zachętą na skromne nawet podloty. Boleje czasem okropnie, ale w największej boleści jeszcze zachowuje spokój, nawet pogodę, bo wie, że boleść spadła na nią z woli Bożej, że droga krzyżów jest drogą do nieba, więc przyjmuje ją wdzięcznie i upadając pod krzyżem, dziękuje za ten krzyż.

Doskonałość moralna, tak wysoka jak rzadko: intelligencya świetna i bardzo wykształcona: w stosunkach towarzyskich „mądra powaga złączona z dobrocią“, ale i z wesołością – to była pani Szeptycka. Niestety, te rysy, choć prawdziwe, wyobrażenia o niej nie dadzą; możnaby zastosować do niej to, co Klonowicz mówi do Kochanowskiego: „Jeżeli chcesz, żeby twoje podobieństwo było dobrze utrafionem, to wstań i pisz sobie“.

Zofia Fredrówna była dzieckiem niepospolitych rodziców, a wzięła wiele z obojga. Nie wsławiła się, jak ojciec, nieśmiertelnemi komedyami, ale bystrość, a zwłaszcza oryginalność umysłu, niespodziewane i nieprzewidziane a wybitnie własne zwroty myśli, słowa, humoru, były prawdopodobnie po ojcu odziedziczone. Grunt religijnego duchowego życia, postanowiona raz na zawsze i dotrzymana uległość względem Boga, męża i obowiązku, przekonanie, że życie,

zasługa, chwała niewiasty, zamyka się w domu i w rodzinie, te, jeżeli się nie mylę, pochodziły od matki, i od niej także ta „powaga złączona z dobrocią“, która cechowała panią Fredrową nie mniej jak jej córkę. Może dlatego, że tak skrupulatnie strzegła domowego ogniska, że sama z umysłu chowała się w cień za mężem, może i dlatego, że sława męża bardzo widoczna, mogła dla ludzi przyćmiewać jego otoczenie, pani Fredrowa (Zofia z hr. Jabłonowskich) nie była tak światu znaną, nie zwracała tak jego uwagi, jak się to należało jej rozumowi i charakterowi. Oprócz wszystkich zaś cnót i zasług, miała swój sposób bycia, rodzaj obejścia się, jaki w naszych czasach widziało się już chyba w niej jednej: pomimo doskonałej (rzadko używanej) francuzczyzny, było w niej coś staropolskiego. To nie był rodzaj puławski, trochę romansowy, trochę manierowany; tem mniej rodzaj świetny, ale zbyt światowy, uszczypliwy, pani Wąsowiczowej. Układ i rozmowa były bardzo wykwintne, bardzo dostojne, a swojskie. Domysł jest blizki, że nabrać go mogła pani Fredrowa w sławnym domu kasztelanowej polanieckiej, u której z matką, Swidzińską z domu, jako u ciotki, wiele przebywała jako dziecko i jako panienka. Patrząc na nią, mówiąc z nią, miało się wrażenie, że takie mogły być dobre żony jakich dobrych senatorów z XVIII wieku. Pokorna czy skromna szczerze, ale zbytecznie, mówiła o sobie, że tylko to wie i to umie robić, „co ją matusia nauczyła“. Musiała ta „matusia“ dobrze uczyć i dużo umieć, bo wyuczyła córkę na panią niezwykle rozumną, wielkiej powagi, i w późnej jeszcze starości wielkiego wdzięku.

Każde miasto, a dopieroż każde polskie, mogło zazdrościć Lwowu takiej ozdoby i chluby, jaką on miał w tym domu Fredrów. Nie przestępowało się jego progu bez wzruszenia: zdawało się, że gdzieś za mgłą chowa się tam jeszcze cień Napoleona, a nie za mgłą, tylko wyraźnie unosi się duch ks. Józefa — zdawało się, że wabią i obiecują się ukazać fikcyjne postacie Cześnika, Rejenta, Anieli i Klary. Rzeczywistość ukazywała postać szanowniejszą starca, w którym żyła cała długa historya od napoleońskich tryumfów do dzisiejszych smutków, w którym Polska dawna cierpiała nad

obecną — obok niego ukazywała rzeczywistość postać niewieścią w majestacie starości i godności, a w niej także były te słowa, „które duch dawnej Polski potomności chowa“.

W starości państwa Fredrów ich dom był bardzo cichy, zamknięty, otwierał się tylko dla dobrych znajomych, nigdy na długo, nigdy dla wielu naraz. Żadnych przyjęć, żadnych światowych konieczności; uwalniał od nich sam wiek. Inaczej było zapewne, kiedy sami byli młodzi, albo kiedy córka z dzieciństwa dorosła do młodości — chociaż w młodości już, a w każdym razie w sile męskiego wieku, Aleksander Fredro, tak pełen wesołości i humoru w pismach, w życiu był raczej smutny, a czasem nawet posępny, melancholiczny — popędliwy przytem, łatwy do zniecierpliwienia i gniewu. Czy nie temu jego usposobieniu przypisać trzeba to, co zapisuje pani Szeptycka w swoim pamiętniku, zaczętym na prośbę męża i synów, niestety nieskończonym, a ogłoszonym przez p. Włodzimierza Kozłowskiego w pośmiertnem o niej Wspomnieniu [1]): „Pytam sama siebie ze smutkiem i wyrzutem sumienia, czemu go się tak bałam? a bałam się szalenie“. Ona się bała po dziecinnemu, bez powodu: ale on „kochał do słabości i pieścił, zawsze jednakowo, od mego urodzenia do jego śmierci. Nigdy go nie nudziłam, nigdy nie zawadzałam. Inspekcyonował ubranie, ręce, obuwie, opowiadał bajki, rysował koniki, brał z sobą na folwarki i do stajni, sadzał na konie i t. d. Matka kochała nas namiętnie, nigdy nie wychodząc z troski o nas i nasze zdrowie“ (pani Fredrowa w młodszych latach była bardzo wrażliwa, nerwowa, skłonna do niepokoju). „Z mglistego zarania dzieciństwa wyłonił się stosunek przedziwnej miłości i przyjaźni między mną a moją matką“.

„Trzeciem sercem, czuwającem nademną, była Adela Defforet“. Młoda Szwajcarka, sprowadzona na nauczycielkę, zrazu niechętnie przyjęta przez sześcioletnią dziewczynkę, z czasem przyjaciołka całego życia, i jedna z osób które najwięcej wpływu wywarły na panią Szeptycką. Była młoda i uboga; zostawiła rodziców i rodzeństwo, pojechała w kraj

[1]) *Gazeta Narodowa*, kwiecień 1904.



Zofija z Hrabiów Jabłonowskich
Hrabina Fredrowa

daleki, nieznany; dziecko uczuło rychło boleść takiego rozstania, zrozumiało, że to rozstanie było skutkiem ubóstwa, i zaczęło żałować zrazu, a dalej kochać coraz więcej tę nauczycielkę. Padło w duszę pierwsze ziarno współczucia, politowania, z którego wyrosło późniejsze miłosierdzie, i pierwsze ziarno delikatności, szlachetnego względu na drugich. Dziecko nie mogło znosić, że niektórzy goście rodziców nie uważali jego nauczycielki za równą, zostawiali ją na boku jako nienależącą do ich grona. W młodej nauczycielce odkrywało coraz więcej skarbów dobroci, przywiązania, pobożności, miłości Bożej, i przylgnęło na całe życie do osoby, która przyjechała do obcego domu, a została w nim na zawsze, i umarła w starości, jak w swoim.

Panna Zofia miała rok jedenasty kiedy życie rodzinne zachmurzyło się na długo. Brat, od niej o dziesięć lat starszy, Jan Aleksander, poszedł na wojnę węgierską. Z wiosną r. 1848 wstąpił do gwardyi narodowej we Lwowie; mała siostrzyczka pyszniła się jego mundurem. Ale w lecie, kiedy rodzice mieszkali w Beńkowej Wiszni, on swoją służbę gwardzisty pełnił w Samborze, i tam, za wpływem pułkownika Tchórznickiego, dał się zwerbować do węgierskiej legii polskiej — bez wiedzy ojca! Ojciec się zgodził, *post factum,* ale żałość została wielka. Matka zwłaszcza, przez cały czas wojny, truchlała o swego jedynaka Wojna się skończyła; on wracać nie mógł. Z końcem r. 1849 rodzice wybrali się z córką do Paryża, w nadziei, że się go tam doczekają. Doczekali się nie łatwo. W przebraniu, jako służący, umknął czujności ambasady austryackiej, domagającej się w Konstantynopolu wydania żołnierzy węgierskich i — dopiero w styczniu r. 1850, w nocy, gwałtowny szturm do mieszkania, powszechne przebudzenie, zaniepokojenie i uszczęśliwienie: to Oleś! prosto z wagonu. Ledwo się wyrwał z objęć rodziców i siostry, kiedy ojciec kazał mu się *pokazać.* W jednej chwili przebrał się, i pokazał ułana, z krzyżem na piersiach: ojciec patrzał ze łzami, a myślał o sobie w mundurze, o swoich bojach, nadziejach, czasach.

Pobyt Fredrów w Paryżu przeciągnął się długo; wrócili dopiero z wiosną r. 1852. Ale podczas tego pobytu Henryk

Rodakowski, już malarz, choć jeszcze nie wsławiony, widział rysunki małej panny Zofii, i uznał, że warto ją uczyć. Wynalazł nauczyciela, a postępy były tak szybkie, że trzynastoletnia dziewczynka kopiowała obrazy w Luwrze, po kilka godzin dziennie.

Tym malarskim talentem cieszył się ojciec.

„Naukami nie bardzo się troszczył, o talenta jednak dbał bardzo. Przedewszystkiem dbał o to, żebym była jednakiej zawsze uprzejmości dla wszystkich, miłych i niemiłych, swoich i obcych, młodych i starych, sług i gości. Żadnego ukrytego śmiechu, szeptów, drwiących wejrzeń, nie znosił. Zresztą przed takowemi mnie przestrzegać nie potrzebował, bo zanadto prostą a wysoką (mogę użyć tego słowa) była atmosfera naszego domu, aby mogły mnie się czepiać podobne zachcianki. Zanim jeszcze wiedziałam co Bogu a co ludziom się należy, miałam w sobie pewien instynkt co szlachetne, a co małoduszne — i tego bez zastanowienia unikałam".

Czego pani Szeptycka nie wiedziała może nigdy, to jak dalece ten ojciec nią się pysznił. Nie, kiedy miała dziesięć lat naturalnie, ale później, kiedy dorosła. Widział w niej dziewczynę, później żonę i matkę, taką, jak być powinna, do Boga i do ludzi, a względem Boga, czy względem ludzi taką, jak chciał, jak rozumiał, jak mógł marzyć. Spełniała jego ideał córki, żony, matki i osoby żyjącej w świecie. To podziwienie nie objawiało się naturalnie przed młodszymi lub zupełnie młodymi, ale wybuchało z niego bezwiednie w rozmowach z równymi, z przyjaciołmi, a młodszym czasem zdarzyło się to zasłyszeć i zapamiętać. „O talenta dbał bardzo" — jednym z nich chwalił się otwarcie, bez ceremonii, talentem malarskim. Ten odziedziczony był zapewne po matce, która jak córka w swoim pamiętniku wspomina, bez żadnej nauki, tylko własnem zamiłowaniem i staraniem, doprowadziła do tego, że robiła wcale ładne kopie. Córka nie poprzestała na kopiach. Kiedy w r. 1860, w przejeździe do Karlsbadu, państwo Fredrowie zatrzymywali się w Krakowie, p. Aleksander z rozrzewnieniem i uniesieniem opowiadał o tylko co skończonym obrazie panny Zofii. „Nie czuła się na siłach —

mówił — wymalować Matkę Boską z własnej wyobraźni, wzięła ją otwarcie z Madonny di Foligno. Ale ten Święty, któremu ona się zjawia, jest jej własny, najzupełniej własny, a ma taki wyraz zachwycenia i uwielbienia, że żaden Święty nie mógł mieć piękniejszego". Jest to ten św. Jan z Dukli, który wprawiony jest w ołtarz w lwowskim kościele Bernardynów, w chórze zakonników, za wielkim ołtarzem. Tej swojej ulubionej sztuki nie zaniedbała pani Szeptycka nigdy; jeszcze w listach z ostatnich lat życia znajdują się wzmianki o nowych obrazach. Są to, oprócz pamiątek i portretów rodzinnych, obrazy religijne, malowane dla kościołów: św. Józef (w Żółkwi), św. Ignacy, św. Franciszek w Krakowie u Felicyanek, Serca Jezusowego w kościele parafialnym w Bruchnale. Nie widział ich nikt na żadnej krajowej wystawie: jak pisała, tak i malowała pani Szeptycka dla siebie i swoich. Oprócz obrazów kościelnych malowała portrety, prawie same rodzinne: brata, obojga rodziców, z tych najwyższy może portret matki, doskonały podobieństwem rysów, doskonalszy charakterem i wyrazem.

Miłość rodzinna nie ograniczała się na rodzicach i bracie. Po czterech braciach i trzech siostrach Aleksandra Fredry rozrodziło się liczne pokolenie Fredrów, Skrzyńskich, Jabłonowskich, a miłość rodzinna ogarniała i łączyła wszystkich. Wybór jednak, i stopniowanie, zawsze być muszą; stopień najwyższy przywiązania, zaufania, sympatyi, łączył panią Szeptycką nadewszystko z panią Ostrowską. Wanda ze Skrzyńskich Władysławowa Ostrowska była tą osobą, którą ona po rodzicach ceniła i szanowała najwyżej, z którą zostawała w ciągłym związku myśli, która miała wpływ najsilniejszy nawet na jej życie duchowe, której też pamięć przechowała w obszernym, dla rodziny przeznaczonym, żywocie, pisanym w najgłębszem przywiązaniu i najszczerszem przekonaniu o wyższości pani Ostrowskiej nad sobą samą. Oprócz niej przywiązanie najżywsze okazuje się do siostry stryjecznej, Seweryny z Fredrów Ludwikowej Skrzyńskiej, i do siostry ciotecznej, Zofii z Jabłonowskich Stanislawowej Starowieyskiej. Od pierwszej młodości, łączyło ją szczere przywiązanie z paniami starszemi, z księżną Leonową Sa-

pieżyną i hr. Seweryną z Piotruskich Badeniową, przyjaźń serdeczna z księżną Adamową Sapieżyną, i z późniejszą bratową, Maryą hrabianką Mierówną. W późniejszych latach do najbliższych przyjaciół pani Szeptyckiej należał X. Biskup (kardynał) Jan Puzyna, państwo Pawłowie Popielowie i ich córki, X. Henryk Jackowski, pani Anna z Mycielskich Lisicka, Franciszek Paszkowski (starszy), X. Maryan Morawski, pani Zofia Franciszkowa Wodzicka.

Ciągłe starania, bezskuteczne, o pozwolenie powrotu dla syna, a w skutku tego i wyjazdy zagranicę, żeby go gdzieś spotkać. Powtórny, dłuższy pobyt w Paryżu w r. 1855, i wtedy portret brata pendzla siedemnastoletniej malarki ukazał się w *Salonie,* jedyny z jej obrazów, który był wystawiony.

Kiedy doszła do lat dwudziestu, trzeba było pokazać ją w świecie. Niebawem zaczęto o niej wiedzieć w kraju, i mówić. Kolei nie było, osobiste znajomości i przejazdy były rzadsze jak teraz; ci, co nie mieli sposobności być we Lwowie, pytali o nią tych, którzy znali. Zwykle między młodymi pierwsze pytanie: czy ładna? Odpowiedź była: „Tak, ale nie to odróżnia ją od innych. Są równie ładne i są ładniejsze — tylko ona jest inna jak wszystkie. To nadzwyczajna panna“. Że były w niej nadzwyczajne przymioty, to prawda, tego dowiodło całe jej życie; ale w czem widział i po czem poznawał tę nadzwyczajność młody człowiek, który ją widywał na zwyczajnych wieczorkach i balach? Myślę, że to wrażenie pochodziło z jej sposobu rozmawiania i z braku myśli o sobie, braku próżności, z prostoty. Rozmowa była swobodna, wesoła, łatwa, w niej częsty żart, koncept, śmiech. Ale nigdy nic złośliwego, nigdy wyśmiewania, bawienia jednych kosztem drugich. Nigdy także wesołości bezmyślnej, śmiechu dla śmiechu; tem bardziej nigdy dowcipu dla popisu, na pokaz. Każde słowo, każda myśl, były naturalne, szczere; a prędko i łatwo się poznawało, że myśli i słowa wychodziły z intelligencyi bardzo żywej i bardzo oryginalnej, miały jakąś osobną indywidualną cechę. O tem zaś nie myślała wcale, to jej nie obchodziło, jak ona się wyda, jaki zrobi effekt, czy się podoba, albo nie: była w świecie, ale

nie była w nim nigdy dla widzów, dla galeryi, i nie przeszło jej przez głowę pytać i troszczyć się, co ta galerya o niej pomyśli i powie. Zdaje mi się, że te własności odróżniały ją od wielu panien i wywoływały to wrażenie *nadzwyczajności,* jakie robiła. Że zaś one, te własności, były skutkiem całego wychowania i życia, skutkiem błogosławionego wpływu rodziców — to jasne. Jakim był ten wpływ, jaką rodzice córkę widzieć chcieli, to wyraził i określił ojciec w wierszu, który dla niej napisał, kiedy miała wchodzić w świat. Wiersz ten, ogłoszony we Wspomnieniu p. Włodzimierza Kozłowskiego, mówi, że stary Arab (zabytek dawnej mody poetycznej), dał dorastającej córce białą zasłonę:

Pod nią jedynie, w każdej życia porze,
Kobieta światu objawiać się może.
Jej cnoty, piękność, uczucie, rozmowa,
Niech się w niej zawsze do połowy chowa:
Dźwięk głosu, śmiechu, wyrazy, wejrzenia,
Wszystko niech zawsze jej chmurka ocienia,
Niech żaden zapał, żadne męzkie zwroty
Nie tkną jej fałdów nadobnej roboty,
Jej cicha świętość niech wszystko okoli...

Styl może się wydać cokolwiek przestarzałym, ale treść jest mądra i zawsze tak samo niezmiennie mądra i konieczna. Ta biała zasłona, rzucona na słowa, ruchy, spojrzenia, to jest ta „wrodzona cicha glorya, w której szlachetna Pani stąpa“ podług Schillera po wązkiej ścieżce *des Schicklichen;* o niej myślał Goethe kiedy mówił: *Nach Freiheit strebt der Mann, das Weib nach Sitte.* Ale do nauki, rozrzewniony ojciec dodał i świadectwo dla córki...

Bóg ci dał swe dary.
Obdarzył sercem czystem jak krynica,
Wdziękiem rozumu okrasił twe lica,
Miłość i wiarę, których źródło w niebie,
Jak w kielich róży spuścił hojnie w ciebie.

Przyszedł czas, że pączek róży miał się rozwinąć, a w pełnym kwiecie pokazać te wszystkie dary, które w nim Bóg złożył. Zofia Fredrówna wyszła za Jana Szeptyckiego 1 października 1861 r.

Od ślubu występuje na przód w naszem życiu to, co jest jego prawem, jego absolutną koniecznością, której nikt nie może uniknąć, to, co stanowi godność, wartość, szlachetność życia: odpowiedzialność. Dla mężczyzny ona się tylko bardzo zwiększa po ślubie, bo on już przedtem miał, przynajmniej powinien był mieć, jakąś czynność, jakiś obowiązek, za których pełnienie był odpowiedzialny. Ale dziewczyna w domu rodzicielskim ma zakres czynności i obowiązków tak mały, że choć może mieć zalety i zasługi, wady i jakieś przewinienia, to na prawdę ona nie odpowiada za to, co się w domu dzieje. Dla niej odpowiedzialność zaczyna się ze ślubem. Od tej chwili na niej spoczywa, od niej zależy — więcej aniżeli od męża — szczęście, godność, powaga domu i rodziny, od niej cnota, wartość, wieczne zbawienie dzieci (więcej aniżeli od ojca), od niej, od tego, co ona w duszy swoich dzieci zaszczepi, dziedzictwo cnoty i godności przechodzące na dalsze pokolenia. Ona jest koroną męża, mówi Pismo św. — ale jest fundamentem, kamieniem węgielnym, na którym stoi cała budowa rodziny i domu. Stoją one mocno, pewnie, wznoszą się wysoko, jeżeli fundament był mocny i pewny; zawalą się i runą w gruzy, jeżeli fundament był słaby. Jej odpowiedzialność zaś nie ogranicza się na mężu i dzieciach, na ich doczesnem szczęściu i wiecznem zbawieniu: obejmuje wszystko, co ją otacza, wszystko to potrzebuje jej oka, jej rozumu, jej przykładu. Nie dość utrzymywać w mężu, a kształcić w dzieciach miłość i służbę Boga, ojczyzny, bliźniego, cześć i honor — trzeba i umysły ich kształcić, rozwijać, strzedz od czczości i pozoru. Nie dość pamiętać o religijnych potrzebach i obowiązkach ludzi podwładnych, trzeba ich doglądać i kierować w pełnieniu świeckich służbowych obowiązków. Nie dość pamiętać o domownikach i sługach, trzeba znać, wspomagać ubogiego, chorego, nieszczęśliwego we wsi i w okolicy. Nie można zaniedbać i zapominać domowych porządków: nudne

są czasem bardzo, ale są warunkiem cywilizacyi i estetyki domu i życia, i są praktyczną szkołą, przykładem porządku i cywilizacyi dla dzieci, dla służby, czasem dla wsi nawet, nieraz dla sąsiadów. Ogrom czynności i powinności, od najwyższych do najpowszedniejszych, spada na kobietę nazajutrz po ślubie, i już jej nie opuści aż do śmierci. Jedna matka rodziny, bardzo znakomita, a w przejściach życia bardzo doświadczona, mówiła nam, że we wspólnem pożyciu mąż ma podporę i pomoc w żonie, ale żona ma ją tylko w Bogu. Jej życie trudniejsze, niż męzkie — i najlepsza, najpewniejsza, najczulsza pomoc człowieka wystarczyć jej nie może. Ale z tą pomocą ona jest duchem opiekuńczym, aniołem stróżem, błogosławieństwem nie samego tylko męża i dzieci, ale całych pokoleń. Ona góruje nad mężem i nad synem, ona ma nad jednym i nad drugim wyższość duszy i cnoty; jeden i drugi czuje, wie, że w niej jest czystość, niepokalana świętość duszy, jakiej w mężczyźnie niema chyba nigdy, że ona nic złego nietylko nie zrobiła, ale nie pomyślała, że nic brzydkiego, nizkiego nie przeszło nigdy przez jej myśl, przez jej wyobraźnię, nie dopieroż przez jej wolę – i dlatego ona ma prawo żądać od syna więcej niż ojciec, dlatego w niej, choć będzie babką i prababką, zostaje zawsze coś dziewiczego. A oprócz tego ona jest od mężczyzny lepsza, ona więcej kocha, ona się poświęca ciągle, nieustannie, a lepiej od nas umie udać, że się nie poświęca; ona i roztropnością, radą, znajomością ludzi i życia, nieraz od nas mędrsza. Ona kiedy ma duszę szlachetną i tę pomoc Boską, o której owa pani mówiła, kiedy swoją odpowiedzialność zna i czyni jej zadość, jest tem, co na ziemi najlepsze i najwyższe.

Jest u nas takich, dzięki Bogu, niemało, a w nich nadzieja, że i ród męzki będzie się wyżej podnosił, nie upadał, ale między takiemi najlepszemi i najwyższemi była pani Szeptycka.

Mieszkała na wsi; we Lwowie bywała tyle, ile należało dla rodziców, później w Krakowie ile trzeba było dla synów odbywających nauki. Od ludzi nie stroniła, nie trzymała się zdaleka, owszem zachowywała wszystkie stosunki i wszystkie światowe konieczności. N' znać było ani przy-

musu, ani lekceważenia: może o tem i nie myślała, ale umiała wyglądać między ludźmi pięknie. Układ, ruchy, ubranie, były harmonijne, estetyczne; ktoby ją pierwszy raz widział, musiałby zapytać, kto jest ta pani. Uprzejmość zawsze równa. Rozmowa taka ożywiona i miła, że przyciągała ludzi, jak magnes. Słowem, zdawałoby się, że to osoba bardzo światowa i bardzo w świecie zamiłowana. Na prawdę była to osoba istotnie do najwykwintniejszego świata, przez wychowanie, takt i przyjemność; ale przechodząca tylko przez świat i salon, a żyjąca nie w nim, lecz po za nim. Robiła tak, jak każą Święci robić osobom obowiązanym przez swoje położenie do światowych stosunków: każą w tych stosunkach żyć i poddawać się ich zwyczajom czy formom, ale się do nich nie przywiązywać, w nie się nie zaplątać, trzymać się nad niemi. Miłe, bardzo miłe, było jej towarzystwo nieliczne, dobrze dobrane, przyjaciół a przynajmniej dobrych znajomych, zbliżonych do niej pojęciem życia, przekonaniami i wykształceniem, *ein Kreis edler Gemüther*, podług Goethego, najmilsza rzecz w życiu. Lubiła, i umiała zrobić dom przyjemnym, a dbała o to, żeby go zrobić wygodnym, cywilizowanym, estetycznym. Nieporządek, zaniedbanie, a dopieroż brud, były jej wstrętne aż do obrzydzenia. W dziełach miłosierdzia — a wykonywała je od młodości cicho, niezmordowanie — jedno co ją wiele kosztowało, to pielęgnowanie chorych brudnych. Takich zwykle najwięcej, i miała tego przymusu, tej zasługi, wiele przez całe życie. Odwiedzanie i leczenie chorych było jednem z jej codziennych zajęć, a nawet ta choroba, która sprowadziła jej śmierć (tuberkuliczna jak się w końcu pokazało), była przejęta od chorej, którą się opiekowała na wsi. Ulubioną rozrywką była jazda konna, w której doprowadziła do rzadkiej perfekcyi.

Środkiem ciężkości, głównem zadaniem życia, był naturalnie mąż i dzieci: żeby im było dobrze w domu i w tem życiu, a jeszcze lepiej w przyszłem. Zrobić dom szczęśliwym i miłym, przez miłość żony i matki, która wszystko i wszystkich łączy, oświeca, ożywia, która uczy, wyrabia miłość wzajemną między braćmi, która przygotowuje do trudnych zadań i obowiązków, ale i bawi rozrywką i zajmuje rozmową, która



upomina, żąda, wymaga, ale i pieści, patrzy bystro i przenika na wskróś naturę każdego dziecka ze wszystkiem co w niej lepsze i gorsze, nie poetyzuje, nie adoruje, miłości własnej macierzyńskiej i próżności w dziecku nie mieści, ale dobrocią i roztropnością swoją chce z dziecka zrobić człowieka, sługę Bożego, a kiedyś wybranego w niebie. „Co pani robiła, jak pani synów chowała, żeby ich wszystkich wyprowadzić na ludzi?“ — „Co robiłam — odpowiedziała — nie wiem, nic nie robiłam, nie miałam żadnego systemu, nie trzymałam się żadnych pedagogicznych reguł. Kochałam ich i starałam się ich znać, wiedzieć, jaki każdy z nich jest. Mój zaś jedyny system wychowania, to *Zdrowaśki*. Nic — tylko *Zdrowaśki*. Chłopiec dobry, grzeczny, uczy się, słucha, jest zdrów — *Zdrowaśki*. Chłopiec źle robi lekcye, upiera się, dokazuje, naraża się na przypadek szkodliwy — znowu *Zdrowaśki*. Czy z prośbą, czy z podziękowaniem, zawsze tylko to, sto razy na dzień, przy każdej okazyi“. System się udał, pięciu synów wyszło na ludzi, a patrząc na nich trzeba przyznać, że to była matka mądra i matka szczęśliwa. Ale szczęśliwa była samem ich chowaniem, od pierwszych lat ich życia. Być między nimi, dzielić ich wrażenia, myśli, zabawy, śledzić ich postępy, widzieć, jak się rozwijają umysły a pokazują zalety, to była jej rozkosz, jej szczęście. Miła rzewna pamiątka tego jej uczucia została w jednym jej rysunku. Przedstawia on na jednej karcie, w kilku podziałach, dzień chłopców w Przyłbicach. W środkowym przedziale chłopcy mówią pacierz z rodzicami, ze starą babką, w bocznych chłopcy na kucach, chłopcy przy lekcyi, chłopcy dokazują, chłopcy na polowaniu. W jednym najstarszy przystępuje do pierwszej Komunii między rodzicami, młodzi skupieni około babki klęczą i patrzą. Ten rysunek, darowany najstarszemu synowi Jerzemu, był zawsze w jego pokoju, a przed samą śmiercią, już po przyjęciu Św. Sakramentów, kazał go sobie podać, wziął w ręce, wpatrywał się — wpatrując żegnał się z życiem i powiedział: „Jaka szkoda! to było takie śliczne“. Co się wtedy działo w duszy biednych rodziców!

Ta macierzyńska radość dochodziła do wyższego uszczęśliwienia, kiedy w dzieciach pokazywała się pobo-

żność, miłość Boga, zarody chrześciańskiego duchowego życia. „Już drugi mój chłopiec — pisze pani Szeptycka do pani Stanisławowej Starowieyskiej w r. 1876 — odprawił pierwszą Komunię (Roman, dzisiejszy metropolita lwowski). Pięknie, i nawet mogę powiedzieć, święcie. Serce mi rośnie, jak pomyślę, że już dwóch Bóg mi pozwolił przyprowadzić do Stołu Swego, a ile rozum i serce ludzkie odgadnąć może, zupełnie w łasce Jego, czystych, gorliwych, skupionych na duchu. Na każdym kroku, w każdej zabawie, w każdej rozmowie spotykam się z kwiatami i owocami tych świętych łask".

W tym samym roku, 1876, umarł Aleksander Fredro. Skończył się dom rodzicielski. Pani Fredrowa od śmierci męża zamieszkała przy córce i zięciu w Przyłbicach, we Lwowie został tylko syn ze swojemi dziećmi. Mieszkał na dole, piętra, opustoszałego po rodzicach, nie potrzebował, wynajął je. Pani Szeptycka uznawała, że miał racyę, ale w tych pokojach inni ludzie, nawet inne sprzęty, te, które znała od urodzenia, przeniesione, przewiezione gdzieindziej — to była przykrość.

W pierwszych latach zamężcia straciła pani Szeptycka swego pierworodnego synka, dwuletnie dziecko. Mówiła nieraz, że żadna późniejsza strata nie bolała jej tak bardzo, jak ta. Może dlatego, że to była pierwsza boleść — a może ona nie była jeszcze wtedy doszła do tego duchowego wyrobienia, które w cierpieniu widzi nietylko wolę Bożą, ale i łaskę. Ten stopień doskonałości okazał się przy drugiej stracie dziecka. Najstarszy z żyjących synów, Jerzy, dobry, miły, bystry, zdolny, zapowiadał piękny żywot, kończył gimnazyum, bardzo ceniony przez nauczycieli, kochany przez kolegów. Zachorował i umarł (w r. 1880). Miał lat siedemnaście. Cięższa musi być dla rodziców strata takiego chłopca, niż małego dziecka, tem cięższa, że ten, choć tak młodziutki, był już dla obojga poniekąd przyjacielem. Jak głęboki był ich żal, tego nikt nie zmierzy, prócz Boga; jak był budujący, jak wysoko cnotliwy, to wiedzą ci, co ich widzieli. Ale oto jego ślad z czasu, kiedy pierwsze wrażenie, pierwsze odurzenie nieszczęściem przeszło, a życie codzienne zaczęło wracać i odrywać myśl od tego jednego przedmiotu:

„Teraz więcej jeszcze niż dawniej przylgnęłam do was. — (List do pani Starowieyskiej[1]) z kwietnia 1880 r.) — Nie darmo przy konającem dziecku rodzice widzą twarze i serca płaczące: do grobowej deski o tem nie zapomną... Było to ładne życie! Ale też jak ta jedna gałąź odcięta, wielką próżnię po sobie zostawiła... Zapewne mówią o nas teraz: „Uspokoili się". Rzeczywiście: czynności codziennego życia nabrały znowu swego znaczenia. Jaś (mąż) w interesach gospodarskich, ja obiad dysponuję, wydaję, kupuję, zapisuję; dopiero w jednej chwili przypomnę sobie, że tu obok w kaplicy leży Izio, że Izio umarł — i wtedy taki okropny strach mnie ogarnia czy to może być, żebym ja o nim zapominała, że nigdy tak rozdzierająco nie cierpię". To wrażenie, ten strach, że się zapomina kiedy się już nie bez ustanku, nie wyłącznie o utraconym myśli, nie są trwałe. Przekonywamy się prędko, że nie zapominamy i nie zapomnimy nigdy. Ale chwile tego przypuszczenia, tej wątpliwości, są nieuniknione a strasznie bolesne: to wie każdy, kto choć raz w życiu kogoś stracił. Potem wspomnienia szczęśliwej przeszłości i rzewne użalanie się nad mężem: „Jaś chce, żeby nabożeństwo majowe odbywało się w kaplicy, gdzie Izio mieszka, bo przeszłego roku on pisał: „O tej godzinie odprawia się majowe nabożeństwo, zdaje mi się, że widzę wszystkich, chciałbym tam być"... Jest coś okropnie rozdzierającego w boleści tego silnego zahartowanego charakteru Jasia, że na to słów nie mam" — i opowiada, jak biedny ojciec ukradkiem zbiera i chowa „skarby po Iziu", jego naboje do strzelby, drobiazgi zapomniane w kieszeniach jego starych sukien, w szufladach jego stolika... W takiem uczuciu Kochanowski przeglądał „żałosne ubiory" Urszulki.

Dla pozostałych synów spisała matka Wspomnienie o utraconym bracie. Wszystko, co ona mówi, wyjątki z jego listów, które przytacza, dowodzi, że ten chłopiec był nietylko niezwykły, ale że z każdym rokiem był lepszy: lepszy we

---

[1]) Zofia z hr. Jabłonowskich Stanisławowa Starowieyska, siostrzenica Aleksandra Fredry, wcześnie osierocona, dlatego chowana i za mąż wydana w domu wuja.

wszystkiem, w naukach, w rozumie, w sercu, w miłości rodziców, w miłości Boga. To wspomnienie pełne jest uczuć i słów przejmujących najwyższem uszanowaniem i współczuciem, ale jest między niemi jedno szczególnie uderzające. Matka opowiada, że syn widocznie coraz więcej kochał ojca, i kończy to taką uwagą: „Wzorem miłości syna do ojca był sam Bóg-człowiek“. Do Ojca się modlił w Ogrojcu i na krzyżu, Jego prosił o pomoc, a matka „tylko stała pod krzyżem“. Jej syn nie kochał ojca więcej niż matki, ale ona myśli, że jego więcej kochać powinien. Myli się, jest właśnie przeciwnie — ale co za pokora w tej macierzyńskiej miłości i co za stopień wyrzeczenia się siebie, kiedy dodaje: „Dziękuję za to więcej, niż za wszystkie błogosławieństwa krzyża, i nigdy dziękować Panu nie przestanę“.

Ale ta boleść jest opanowana, przemieniona. W dwa lata później umarła pani Fredrowa (1882 r.). Pani Szeptycka pisze w jakiś czas potem: „Jak po śmierci Izia, tak teraz, czuję jasność tego życia, które się rozpoczyna, więcej niż smutek, za tem biednem i ciemnem, które się skończyło“.

To życie, które się rozpoczęło już dla zmarłych, które się rozpocznie kiedyś dla nas żyjących, staje się coraz wyraźniej jej pragnieniem, dążeniem, celem. Ona i syna, i matkę, widzi już w tej jasności, a wie, że sama z każdym dniem do niej się zbliża i więcej pragnie, spodziewa się, wyrywa się, niż tęskni. Życie duchowe było zawsze bardzo silne, bardzo gorące. Kiedy (w r. 1876) panna Starowieyska wstępowała do klasztoru, oto, co pani Szeptycka pisała do jej matki: „Im dalej idę w życie, a idę otoczona, obsypana wszelkiem błogosławieństwem, tem bardziej czuję *upał dnia,* i tem więcej nie w egzaltacyi młodości, nie w goryczy zmęczenia, ale w wierze, miłości i wdzięczności ku Bogu mówię: „Błogosławieni między błogosławionymi ci, których On sobie wybiera“.

Ten kierunek uczuć i sposób myślenia matki odbił się w synach. Najstarszy z pozostałych, Roman, w bardzo młodych latach objawiał już podobne. Miał lat dziewięć, kiedy raz na konnym spacerze, w toku rozmowy zeszło na pytanie: „Czem ty będziesz, jak dorośniesz?“ — „Ja będę księdzem“ —

odpowiedział chłopiec. Matka naturalnie nie przywiązywała do tego wagi i pytała dalej: „Jakże ty będziesz księdzem, kiedy tak lubisz kuca, a księża nie jeżdżą konno?“ — „Czemu nie. Ja będę księdzem i będę jeździł“. I tak się stało. Arcybiskup-metropolita siada na konia i jeździ. Później był uczniem kiedy pisał do matki, że wszyscy razem, z krewnymi, z przyjaciołmi, wydają mu się jak kompania ciągnąca na odpust do Częstochowy — tylko ta Częstochowa jest dalej i kto do niej doszedł, ten już w niej zostaje. Pobożne usposobienie młodzieńca wyrabiało się stopniowo na wyraźne stateczne powołanie duchowne. Ojciec, w przewidywaniu, że ono może nie być trwałem, żądał, żeby syn i doświadczył się i usposobił do życia świeckiego, gdyby z czasem miał chcieć w tem pozostać. Żądał zatem ukończenia nauk uniwersyteckich, doktoratu z prawa. Młodzieniec poddał się woli ojca, ale siebie był pewien, że w powołaniu wytrwa. Robił więc, i zrobił, czego od niego żądano: ludzi nie unikał, z kolegami żył i starał się na nich dobrze wpływać, pokazywał się nawet na wieczorach. Przy uroczystości srebrnego wesela rodziców prowadził matkę do ołtarza w pięknym polskim stroju, jak przyszły senator raczej, niż jak przyszły zakonnik. Ale czas płynął, rygoroza się zdały, promocya się odbyła, w obecności rodziców, krewnych, przyjaciół... młody doktór spełnił wolę ojca, i poprosił teraz o spełnienie swojej.

Ale nie było to tylko powołanie do stanu duchownego — było więcej: było pragnienie życia zakonnego. I to jeszcze nie wystarczało. Jest cała jedna część Kościoła bardzo zachwiana, bardzo zagrożona: podeprzeć ją, ubezpieczyć, wszczepić na nowo a silnie w pień ten konar, który się odchyla, oddziera. Wszak to Polska kiedyś stworzyła Unię, a dziś w co się ona obróciła? Klemens VIII spodziewał się przez nią *Orientem convertendum.* Ta nadzieja zgasła; ale rozetlić ją, nie dać jej zgasnąć zupełnie, to zadanie, to missya, dla kapłana i dla Polaka! Służba Boża woła o to, a służba ojczyzny także. Ale to dzieło, które się nie da zrobić z zewnątrz: musi się wykonać w Unii samej, przez nią. A więc trzeba w nią wejść! Zmienić obrządek, i... wstąpić do Bazylianów, bo tylko z bezżennego duchowieństwa może wyjść

odrodzenie duchowego życia na Rusi. Żarliwość religijna i miłość ojczyzny, pchały młodego Szeptyckiego na tę drogę — może tem łatwiej, że widział na niej ślady swojej domowej tradycyi. Wszak jego ród trzymał się kiedyś greckiego obrządku, wszak wydawał metropolitów.

To powołanie i postanowienie syna było zapewne w życiu pani Szeptyckiej chwilą najwyższego podniesienia, spotęgowania wszystkich uczuć. Jej dusza gorąca, uczuciowa, zapaliła się do wzniosłości celu i dzieła; jej miłość Boga rozradowała się na widok takiej Jego miłości w synu; miłość macierzyńska uniosła się radością, a może i bezwiedną chlubą na widok takiego plonu swoich zasiewów; wyobraźnia, żywa i poetyczna, wpatrywała się w piękność takiego poświęcenia i życia, uszczęśliwienie weszło we wszystkie główne uczucia, we wszystkie pierwiastki jej natury i śpiewało *Magnificat.* Ale natura ludzka, ale wszystkie przyzwyczajenia życia, ale rozstanie się z synem, rozdzierały serce. A prócz tego powołanie duchowne ją radowało, ale zmiana obrządku była jej przykrą, i musiała się bardzo przezwyciężać. Można w wysokiej cnocie mieć poświęcenie za szczęście i uważać, że ono skoro jest szczęściem, to poświęceniem już nie jest; ale nie można jednak nie czuć, że ono boli: gdyby nie było w niem bólu, nie byłoby i zasługi. Oba te uczucia, rozdarcie i uszczęśliwienie, odbijają się w listach pani Szeptyckiej. Oto, jak opowiada wyjazd syna do nowicyatu (w liście do panny Zofii Popielówny, 29 maja 1888 r.):

„Prawda, żem cierpiała, a może i cierpię, jak jeszcze nigdy, ale *Magnificat* jeżeli na chwilę jaką w uczuciu ustawał, to wolą, rozumem, całą duszą powtarzam. W piątek Roman musiał być we Lwowie, sobota najcięższy z dni. Ale może dlatego Pan Bóg dał to przedłużenie konania, żeby z domu wyszedł dopiero usłyszawszy słowa Ewangelii: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody“. Dziwnie uroczysty był wyjazd; w niedzielę o godz. $4^1/_2$-ej. Uklękliśmy wszyscy przed relikwiami, które on z Rzymu przywiózł i jakby w ołtarzyku u nóg mego łóżka umieścił. Zmówiłam głośno *Pod Twoją obronę* i *Przyjdź Duchu Stworzycielu,* potem już głosu ludzkiego nie słyszałam, aż znowu w bramie głośno się przeżegnałam. Nikt

nic nie powiedział. Ludzie czekali na dziedzińcu: on każdemu podał rękę, każdy ją pocałował. Jaś długo nie mógł się zdecydować czy jechać; te dni były zupełnie takie, jak po śmierci Izia. Wreszcie Pan Bóg dał, że się zdecydował. Bogu dzięki nikogo nie spotkaliśmy (w drodze). Rano byliśmy na Mszy św. w kaplicy Fredrów (w Przemyślu), potem fiakrem do Dobromila. Jaś był bardzo spokojny. Roman taki promienny już po konaniu tamtych dni, jak tylko zapamiętam go dwa czy trzy razy w latach dziecinnych, gdy dostawał dawno upragnione podarki. O godz. 11-ej stanęliśmy. Dwóch młodych stało na wzgórku ogrodu gdyśmy zajeżdżali: wysoko podnieśli kapelusze, powiewając niemi do Romana, on tak samo do nich, a twarz taka radosna! O godz. 3-ej sprowadził nas ze schodów, uściskaliśmy się, pojazd ruszył, a on wybiegł na schody i taki promienny i uśmiechnięty jeszcze głową i ręką kiwał... Powrót był okropnie ciężki, choć wierzajcie mi, że jasny... Myślę, że Pan Jezus kontent był, bo każdy po swojemu, jak umiał, złożył Mu swoją ofiarę. Jasia ofiara chyba najczystsza była. Ciągle powtarza, że tylko Bogu dziękować, żeśmy niegodni takiego dziecka, a całem sercem je daje".

A teraz obłóczyny (do tejże 9 lipca 1888 r.).

„Obudziła mnie (w Przemyślu) newralgia i deszcz lejący jak z cebra. Wyruszyliśmy o 6-ej rano, w szarugę, jaką dotąd tylko w listopadzie widziałam. Dwie mile fiakierską dryndulą, pod wiatr, w szarugę, z kaszlem i newralgią i ze wszystkiem co miałam w sercu, pojmujesz, jak głupio ciężkiemi mogły być. Ceremonia zaczęła się o 9-ej. Miałam czas być u Komunii św., i, jak przeczuwałam, Pan Jezus newralgię zabrał, bo widział, że za ciężko było. Widziałam Romana chwilkę tylko. Potem poszliśmy do cerkwi. Położył się z rękoma rozkrzyżowanemi przed wielkim ołtarzem i zaczęły się modlitwy. Po kwadransie ukląkł, a ksiądz zapytał go od ołtarza, po rusku: „Po coś tu przyszedł?" — „Wieść żywot pokutniczy". — „W czem go chcesz znaleźć?" — „W sukni i życiu zakonnem". Potem, ile pamiętam, ksiądz uciął mu po kosmyku włosów na krzyż, na szczycie głowy, nad czołem i po obu bokach, odmawiał modlitwy i nadał mu

imię Andrzej. Wtedy zbliżył się Ojciec Szczepkowski i do rąk mu oddał suknię i pas zakonny. Roman poszedł do zakrystyi i wrócił już przebrany. Modlił się chwilę; potem, gdy wszyscy odeszli od ołtarza, odszedł i on, a potem ujrzałam go w dalmatyce, z kadzielnicą w ręku, wychodzącego do Summy. Sama nie wiem, i oddać nie mogę, co czułam: wiem, że strumieniem łzy spływały mi po twarzy, że dziękczyniłam Bogu i że mi się to dziecko moje wydawało piękne, jak anioł, z tą twarzą dziś, bez wąsów, wyglądającą na szesnastoletnią, a tak poważną, tak skupioną. Gdy potem widziałam go przy podniesieniu postępującego z kadzielnicą przed Najśw. Sakramentem i obłok dymu całą jego postać w tej białej dalmatyce jakby murem odemnie odgraniczał, uczułam więcej niż kiedy, że to nie moje było, nie moje jest, i że oddałam tylko Bogu co Boskie było. Przed Komunią odśpiewał *Wierzę w Boga;* nigdy się nie uczył śpiewać, a to *Credo* byłby mógł nie wiem gdzie zaśpiewać, tak jak je wtenczas śpiewał. Po Mszy wyszedł po drugich, z kapturem na głowie. Ten kaptur dziwnie mi ciężki: to pokusa dla mnie. Ubiór taki jak Jezuitów, tylko w nowicyacie skórzany pas. Kapturek śliczny, gdy spuszczony".

„Teraz o nim samym. Nic nowego: zawsze ten sam co do wesołości, jasności myśli i słowa, i tego drogiego śmiechu. Zeszczuplał, i w rzeczywistości, i przez ogolenie wąsów i faworytów, i przez habit. Ale co chyba ostatniem piętnem, którem Bóg chciał naznaczyć, że go w tym habicie mieć chce, to to, że kto go w nim widzi, ten myśli, że dotąd ten człowiek zostawał pod obuchem ciężkiego smutku, który go przygniatał, a nagle zdjętym z niego został: jak stalowa klinga długo przygięta, tak on pod tym habitem wyprostował się, i takiego coś nabrał młodego, prawie żołnierskiego w ruchach, że gdybym go widziała o zmroku, albo zdaleka służącego do Mszy, po ruchach nie mogłabym go poznać. *Il s'est redressé de toute la hauteur de la dignité qu'il a obtenue.* Mówił mi, że dotąd chwileczki trudności jeszcze nie zaznał... Młodzież nadzwyczaj go pokochała, uważa go za „patryarchę" swego. Ojciec Szczepkowski mówił mi, że co do umartwień musi go mieć na oku, bo łatwo przesadziłby.

O godz. $3\frac{1}{2}$-ej odjechaliśmy, i tak się skończył ten dzień tak bardzo piękny, a tak ciężko jakoś od strony ziemi, słabością, słotą i głupotą moją zarysowany. O bracie Andrzeju donioslam ci tyle, ile sama wiedziałam. Brat Andrzej! Czy rzeczywiście, jak Jaś mówi, Romuchy mojego już niema".

Nie ustały niepokoje i troski. Twarde życie zakonne, może zbytek umartwień, odbiły się na zdrowiu młodego kleryka. Po ciężkiej chorobie została obawa o jego piersi. Radzono zimę w Zakopanem, 1891 r., matka była przy nim. Szczęściem złe przeminęło bez śladu.

Ale około tego samego czasu zdrowie matki zaczęło już bardzo podupadać. Oddawna, od młodości prawie, miewała newralgiczne bóle w głowie i kaszle bardzo męczące; z latami to rosło, a przyłączyły się jeszcze jakieś niedobre oznaki w sercu. Stąd zimy na południu, w Gorycyi, w Gries, w Abbazii, które pomagały trochę, ale nie pomogły stanowczo. Cierpienia moralne naturalnie zdrowia nie dodawały. Śmierć pani Ostrowskiej, szczególnie umiłowanej przyjaciółki całego życia (w r. 1884), była po śmierci rodziców i syna najcięższą. We Wspomnieniu, napisanem dla rodziny, mówi, że pani Ostrowska była dla niej więcej, jak siostrą. Potem przyszła śmierć brata. Inny jak siostra, więcej na zewnątrz, pełen życia i humoru, śmiały, tęgi, podobny do wojskowych bohaterów komedyj ojca, charakterem prawy, usposobieniem pogodny i miły, umysłem żywy, talentem nierówny ojcu, ale równy innym, Aleksander Fredro był postacią bardzo sympatyczną i był godzien ze wszech miar tej miłości ludzkiej, która go stale otaczała. Z nim (1891 r.) znikła ostatnia żywa pamiątka rodziców: wszystko to zostawiało ślady nietylko w sercu, ale i w zdrowiu, i zaczęła się niespokojność męża, dzieci, blizkich o panią Szeptycką. Pociech jej nie brakło jednak. Wielką było ożenienie syna Aleksandra z panną Izą Sobańską, który osiadł na roli w Łaszczowie, w Hrubieszowskiem. Większą może wyświęcenie Romana-Andrzeja. Profesyę zakonną złożył on w klasztorze krystynopolskim dnia 14 sierpnia 1892 r.; święcenia kapłańskie odebrał 28-go tegoż miesiąca, a w tydzień później odprawił pierwszą Mszę św. u rodziców w Przyłbicach.

Zjednoczenie matki i syna w miłości Boga i w życiu duchowem było zawsze, ale po wyświęceniu syna doszło do swego szczytu i stało się, rzec można, głównem tętnem życia pani Szeptyckiej. Było w niem wzajemne uszczęśliwienie, wzajemne zupełne zrozumienie. Cześć należy się rodzicom od dzieci, nie dzieciom od rodziców; ale synowi, który jest kapłanem, ojciec czy matka musi przyznać wyższą godność, i może go czcić. Na zupełne uwielbienie ze strony syna pani Szeptycka odpowiadała taką wysoką czcią, która była jej rozkoszą.

To życie duchowe jednak, zapewne w niej coraz wyższe i coraz doskonalsze, nie przeszkadzało jej w ziemskich świeckich stosunkach i sprawach. Nie przeszkadzało nawet w żartach i śmiechu. Była zbyt dobra i cnotliwa na to, by ludzi wyśmiewać, albo obmawiać ale urodziła się z dużym zasobem wesołości, fredrowskiego humoru, i nikt lepiej od niej nie widział różnych śmieszności i komiczności w ludziach czy stosunkach. Jej rozmowa iskrzyła się często od trafnych zabawnych konceptów. Próbkę mamy na nieszczęście tylko jednę pod ręką: umieszczamy ją tu jako przykład. Gdyby Aleksander Fredro był kazał *Wielkiemu człowiekowi do małych interesów* wypowiedzieć jaką mówkę (szkoda, że tego nie zrobił), tę mówkę byłby z pewnością *Wielki człowiek* ułożył podług następującego przepisu:

PRZEPIS NA TOAST WESELNY.

„Wziąć po szczypcie dzielnic dawnej Polski, rozprowadzić dwiema łyżkami poezyi, i delikatnie ubić na piankę. Starannie obranych dwóch antenatów i jednego dziadka utłuc na proszek i wsypać, ciągle piankę bijąc. Można dodać poszatkowaną jedną babkę; dosypać łyżeczkę od kawy zasług rodziców (nie więcej, bo będzie mdłe), pocukrować nadzieją, którą społeczeństwo w nowożeńcach pokłada, i wydać gorąco. Gdyby był jaki znakomity stryj, można nim po wierzchu ubrać".

Ktokolwiek słyszał — a dopieroż kto mówił! — toasty podobne, niech powie, czy wszystkie nie są mniej lub więcej podług tej recepty robione?

Możnaby zapytać, jak pani Szeptycka pojmowała i praktykowała miłość ojczyzny. Pojmowała i praktykowała jako pełnienie wszystkich bez wyjątku obowiązków swojego położenia, jako przejęcie uczuciem i poszanowaniem obowiązku we wszystkich od niej zależnych lub ją otaczających, jako wszczepienie miłości ojczyzny w synów, jako pierwszej po miłości Boga. Tego od siebie żądała i to robiła. Czynnego udziału w życiu publicznem, w politycznych bieżących dążnościach, sporach, walkach, ani nie brała, ani brać nie chciała. Patrzała na to i zdaleka, i, dodajmy, z góry. Miała za regułę, za zasadę, że kobieta nie powinna mięszać się do tych rzeczy, a prócz tego miała do nich wstręt. Nie mogła nie widzieć tysiącznych małości i marności w tych stronniczych walkach, i w ludziach, i te ją raziły, korciły. Jak zaś zawsze i we wszystkiem niecierpiała, nie znosiła udawania, przesady, popisu, komedyi, tak niecierpiała jej może najbardziej w miłości ojczyzny. Frazes, deklamacya, czcze hasła, patryotyzm na wystawę, na popis, często bez rzetelnej prawdy w uczuciu, tylko z próżności lub stronniczego wyrachowania, miała za profanacyę, za nadużycie imienia ojczyzny, za rodzaj bluźnierstwa względem niej. Jedno miała polityczne żądanie czy stanowisko, z którem występowała przez całe życie: „Stwórzcież raz stronnictwo porządnych ludzi! Niech mają opinie jakie chcą, ale niech będą tacy, żeby mogli sobie nawzajem wierzyć i siebie nawzajem szanować. Wtedy i wasze polityczne programy czy działania będą mogły się udać“. To znaczyło, że siła społeczeństw, zatem ich polityczne powodzenie, zależy od ilości i od tęgości charakterów. Nie widziała ich dosyć i to bolało ją bardzo, przerażało o przyszłość. Ale nie przypuszczała, nie pozwalała, osłabienia, zniechęcenia, zwątpienia. Jednemu, który się przed nią użalał na bezskuteczność swoich starań, dała taką naukę: „Kiedy deszcz pada, czy my widzimy, która jego kropla padnie w ziemi na ziarno i ożywi je do kiełkowania? Nie widzimy. Z naszemi staraniami jest tak samo. Nie widzimy,

które z nich odniesie skutek, ale skutek będzie. I tak dopiero jest dobrze. Ta praca najlepsza, której skutku my nie widzimy, bo oprócz zasługi samej pracy, jest w niej zasługa tej przykrości, tego braku pociechy, a Bóg to widzi i liczy“.

Radowała się jednak całem sercem, kiedy widziała skutki starań syna, skutki jego kazań missyjnych, które tak działały na sumienia, że ludzie nagradzali sobie dawno wyrządzane krzywdy, oddawali skradzione rzeczy, przebaczali urazy. Na to serce jej rosło; ściskało się na coraz wyższe stanowiska i dostojeństwa syna, kiedy zostawał biskupem i metropolitą. Ściskało się nie trwogą: ufało w Bogu i w synu, że podoła swoim obowiązkom. Ale zdawała sobie sprawę z niezmiernej trudności położenia metropolity, i z odpowiedzialności ogromnej każdego biskupa, większej biskupa w tych warunkach. Nie bała się dla niego cierni, których ta droga pełna, owszem uznawała je za konieczne, za dobre; ale serce matki czuło każdy cierń, który zranił syna, przeczuwało każdy, który go mógł zranić.

Ze strony świeckich, rodzinnych uczuć, miała jeszcze doznać jednego, wielkiego bólu. Syn brata, Andrzej, umierał bezdzietnie. Skończyła się na nim ta linia Fredrów; odwieczne Fredrowskie majątki, dom rodziców we Lwowie, przeszły w inne ręce. Najwyższa cnota, najdoskonalsze podniesienie się nad ziemskie uczucia, nie mogą przecież — a może i nie powinny — zgładzić uczucia tęsknoty za swoimi, jakie w takich okolicznościach powstać musi. Pani Szeptycka mogła znieść koniec swego domu z całą możliwą rezygnacyą i pokorą, ale nie mogła przecież nie mówić sobie z rozdartem sercem: *Dies Haus steht nun verödet, ich bin die letzte drin*“.

Ostatnią była, ale podobno i najwyższą w tym domu, i zamknęła go wspaniale. Cnotą całego życia była wyższa od wiekopomnego i drogiego ojca, wyższą nawet od czcigodnej matki; nie jaśniała sławą męzką i głośną, ale jasność i wartość niewieściej czci i zasługi więcej znaczy dla rodzin i domów, niż wielkie nawet historyczne czyny mężów, a ta jasność była w pani Szeptyckiej i z niej rozchodziła się do koła w mierze, która zawsze i wszędzie rzadką być musi.

Ciężkie próby i krzyże nie opuściły jej do ostatka. W ostatnim roku życia miała jeszcze radość wielką z ożenienia najmłodszego syna Leona. Żenił się z Jadwigą Szembekówną, urodzoną z Maryi Fredrówny, córki Aleksandra, synowicy pani Szeptyckiej. Z nią wchodziła do domu po raz drugi Fredrowska krew, Fredrowska tradycya, wszystkie drogie i święte rodzinne wspomnienia, które w młodej narzeczonej pielęgnowała matka, które były wspólnie kochane i czczone, a w drugiem pokoleniu wydadzą te uczucia, pojęcia, zasady, które w dzisiejszem zasiały i wychodowały matki. Pani Szeptycka widziała przedłużenie, dalszy ciąg swego życia, wchodzący w dom, z którego ona miała już wyjść. Ale miała jeszcze przed śmiercią jednę wielką boleść. Syn drugi, Stanisław, kapitan generalnego sztabu, przeznaczony był i posłany jako reprezentant armii austryackiej na wojnie rosyjsko-japońskiej. Dla młodego wojskowego odznaczenie bardzo zaszczytne, dowód, że uważany jest za niezwykle zdolnego; ale dla rodziców powód nieustannego i strasznego niepokoju, dla matki chorej pewność, że tego syna, choć wróci, ona już nie zobaczy, że pożegnanie z nim musi być ostatnie. Nie wstrzymywała go... „To dla niego dobrze“ — mówiła, i żegnała, błogosławiła, ostatni raz, z męstwem nie Rzymianki, ale doskonałej i wybranej chrześcianki. Męstwo, moc nad sobą, panowanie nad własnem cierpieniem, były jednym z wybitnych a heroicznych rysów jej charakteru. Siła woli górowała zawsze nad każdem wrażeniem, co było tem dziwniejsze, że natura była nietylko bardzo uczuciowa, ale bardzo wrażliwa. W chwilach największej boleści stała jak skamieniała z wyrazem bezdennego cierpienia w twarzy, ale bez łez. Nawet mąż i synowie nie pamiętają, żeby ją kiedy widzieli płaczącą.

Ta moc duszy jeszcze raz przed śmiercią miała być wystawioną na próbę, na ciężką próbę rezygnacyi i ofiary. Przez cały ciąg długiej choroby pani Szeptycka powtarzała często, że nie chciałaby umierać w nieobecności synów. Synowie byli przy niej prawie ciągle, oddalali się tylko kiedy koniecznie musieli i zawsze na krótko; ale jednak czasem oddalać się musieli. Zdarzyło się raz, że wszyscy czterej

musieli wyjechać z domu (piąty był już w drodze do Mandżuryi), a podczas tej krótkiej nieobecności przyszedł atak, który jej samej, mężowi, wszystkim otaczającym, zdawał się ostatniem konaniem. „Tej ofiary Pan Bóg zażądał: dzięki mu za nią i niech ona go chwali“ — były słowa umierającej. Ale Bóg jakżeby chciał był wypróbować tylko gotowość ofiary, ofiary nie zażądał. Atak przeszedł, synowie wrócili, miała ich koło siebie, wszystkich żegnała i błogosławiła przy śmierci; a widząc ich zgromadzonych koło siebie i odchodząc z tego świata, miała prawo śmiało pomyśleć: „Z tych, których mi powierzyłeś, żadnego nie straciłam dla nieba, żadnemu nie dałam się zmarnować na ziemi“. Skończyła dnia 17 kwietnia 1904 r. Ostatnie jej słowa były: „Ja byłam Chrystusowa i wy bądźcie Chrystusowi“.

„Byłam Chrystusowa“ — w tych dwóch słowach streściła całe swoje życie. Od wczesnej młodości do końca przejęta była tą świadomością i tą wolą służby Bożej; każde jej uczucie, słowo, postanowienie, każdy uczynek kierowany jest tą świadomością i wolą, zwrócony do tego celu. Ona dla miłości i chwały Boga, dla zbawienia duszy żyje, i wszystkich, którzy od niej zależą, ma tem uczuciem i przekonaniem przejąć, do tego celu ich prowadzić. Jako żona, jako matka, jako córka, siostra, pani domu, krewna, przyjaciółka, ona we wszystkich stosunkach i obowiązkach ma wiecznie przytomne słowa: „Ja służebnica Pańska“, a we wszystkich trudach, uciskach, boleściach życia, dodaje: „Niech mi się stanie według woli Jego“, i kiedy cierpi najwięcej, jeszcze czuje się szczęśliwą, jeszcze dziękuje, że się ta wola nad nią stała. Duchowe życie, cnota, są w niej na wysokości niezmiernie rzadkiej, a są tem dziwniejsze, że niema w nich nic smutnego, nic ascetycznego, ani wymagającego, surowego, ani pedantycznie nauczającego, że się godzą ze świeckiem życiem, ze złotym zdrowym rozsądkiem, z wesołością, z wdziękiem. Te pisma, których nigdy ogłaszać nie myślała, te mnogie listy, najzwyczajniejsze nawet, codzienne, tchną zawsze takim wyższym duchem, przeniknięte są, jak ona sama i jak całe jej życie, miłością, która wszystko ogarnia, Boga i ludzi, i miłuje ludzi w Bogu, a Boga we wszystkiem co stworzył. Je-

dna z jej małych powiastek, *Legenda,* opowiada jak *Miłość świeci,* i tem słowem się kończy. Słowo to przypada dobrze do niej samej; w niej, we wszystkiem co czuła, myślała, robiła, i w tem co pisała „miłość świeci", i jasnością swoją otacza jej postać, jej pamięć, a nie gaśnie z jej życiem, tylko pozostałym „jasną drogę ku niebiosom kreśli".

St. Tarnowski.

I.

Pobijacz dachów.

Był to ostatni tydzień maja. Po późnej wiośnie wszystko naraz młodością i pogodą stroiło się tak, że nawet osty i pokrzywy ładne były i zielone, wiotkie, niewinne, strzelały w górę jakby co poczciwego, na chwałę Bożą; nawet rowy były ładne, pełne jaskieru, niezabudek i gwoździków leśnych, a kwitnącą tarniną uwieńczone. Lasy rozbrzmiewały się od śpiewu ptaków, jak łąki, moczary i pastwiska od grzechotu żab — gwarno było w powietrzu, gwarno i na ziemi, a po ogrodach czeremcha sypała wonią i śniegiem swym, po woni i kwieciu bzów.

Wróciliśmy przed kilkoma dniami z miasta na wieś i wszyscy powrotu tego używaliśmy. Tradycyjne godziny zajęcia, przyjemnostki, odnajdywało się, jak i wiosnę najczęściej odnajduje, jakby była pierwszą — a tym razem minąć nie miała.

Wieczór rozeszliśmy się, jedni drugich przy księżycu odprowadzając, a potem jeszcze każdy dla siebie, nucąc pieśń przed kilku godzinami na Nabożeństwie Majowem śpiewaną, patrzał w to Boże niebo, tak miłościwie gwiaździstą swą oponę rozpościerające nad wszystkiem i wszystkimi, jakby matka zasłonę nad usypiającem dzieckiem, i każdy raz jeszcze ku temu jasnemu niebu wysyłał swą prośbę lub dziękczynienie, i każdemu jakoś dusza w łonie śpiewała, gdy kładł głowę na poduszkę. Wszystkie wiejskie szmery, żab w jeziorku, szczekanie psów, nawoływania nocnych stróżów, wreszcie i dla mnie sennie się zmięszały... i razem z zajęciami dnia, z pieśnią do Matki Bożej, ze słowiczym śpiewem, wszystko zaszumiało w myśli i uszach — i ucichło...

Zdawało mi się, że śpię niedługo, gdy do budzącej się świadomości siebie i do wracających nut wczorajszych przybyła nowa, nie w wspomnieniu już, ani we śnie, i coraz głośniej odzywać się poczęła nuta tamte przygłuszająca... Dobrze mi z nią było i nie miałam ochoty rozbudzać się; a jakieś reminiscencye hejnału krakowskiego zaciemniały w pamięci miejsce i czas obecny — wreszcie nawpół przez sen: „Co to jest? to nie hejnał“ — wyrzekłam, i własnym głosem obudzona, otworzyłam oczy: poznałam pokój i poznałam godzinę — jeszcze piątej nie było, bo winogronowe liście przy oknie dopiero zaczynały migocące swe cienie rzucać na szyby, a pieśń jakaś dziwnie spokojna płynęła gdzieś z góry, w poważnym prostym swym rytmie, nie przerywana, lecz raczej wtórująca równym uderzeniom młota.

Już dobrze byłam rozbudzoną, lecz ruszyć się nie śmiałam, żeby nie przerwać dziwnego uroku tego rannego powitania; gdy weszła jak codziennie służąca, aby okno otworzyć, udałam, że śpię, i wyszła na palcach, a przez otwarte okno, jak falą powietrza niesiony wpłynął śpiew, a młot dalej bił — jakby serce pieśni:

Bądź pochwalon Boże wielki!
A człowiek który bez miary
tuk — tuk — tuk —
Obsypany Twemi dary
tuk — tuk — tuk —
Coś go stworzył i ocalił
I on żeby Cię nie chwalił?!

i chwila przerwy i znów:

Wielu snem śmierci padło,
Co się wczora spać pokładło —
tuk — tuk — tuk —
My się jeszcze przebudzili
Byśmy Cię Boże chwalili —
tuk — tuk — tuk.

. . . .

Ranna ta przygoda czy niespodzianka tak dobrze jakimś tajemniczym wdziękiem wplotła się w myśl moją, że nie miałam ochoty o niej mówić, gdy dom się rozbudził i zwykłą pracą ożywił: jakoś żal mi było dowiedzieć się, że to ogrodniczek tak śpiewał, nabijając obręcze na beczce od wody — więc nie pytałam o nic, ale w uszach brzmiało:

My się jeszcze przebudzili,
Byśmy Cię Boże chwalili —

a głębiej gdzieś „tuk — tuk — tuk“ serce dopowiadało.

Każdy dom ma swoje gwary i cisze — dla mnie wówczas taką chwilą ciszy bywało, gdy po śniadaniu wszyscy do swoich zajęć się rozchodzili, a ja — wydawszy rozkazy i prowianty całodzienne, ze spokojnem sumieniem, że wiem o wszystkiem, o czem wiedzieć mi się należy, a z błogiem uczuciem, że na resztę dnia o gospodarstwie myśleć nie potrzebuję, wracałam do mego pokoju, zapisywałam wydatki, a potem brałam się do listów lub książki.

Tak więc było i owego dnia — z tą tylko różnicą, że rano, zamiast pomówić modlitwy, pieśni słuchałam — teraz więc zamiast pisać lub czytać, miałam jeszcze modlitwy skończyć. Zdjęłam ze ściany krzyżyk missyjny nad łóżkiem wiszący, uklękłam i twarz schowałam w ręce nad Tą ukochaną Postacią Ukrzyżowanego. Ale nie byłam jeszcze myśli zebrała, gdy znów ten może nie piękny, ale tak przedziwnie spokojny głos się odezwał i zawisł jak niebieski ptak się kołysząc nad świeżemi grobami.

Witaj Królowo, Matko miłosierdzia,
Żywocie słodyczy, nadziejo nasza, witaj!

Wtuliłam twarz w ręce, i krzyż, który trzymałam, nie chcąc słuchać — ale słowa modlitwy stapiały się w nutę pieśni... Skończył śpiewak pierwszą — chwilę młot tylko w oddali pukał... a potem kolenda się odezwała, jak organy poważna, jak kołysanka pieszczotliwa. Usta moje przytulone do nóg Zbawiciela mówiły: „Dla tego czem Tyś jest, Panie mój,

prośba moja, dla tego czem Tyś jest, w Tobie nadzieja moja Panie!“ A pieśń płynęła:

Wzgardzony, okryty chwałą,
Śmiertelny król nad wiekami,
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami!

„Panie — Kościół Twój — Księstwo — Królestwo — Unia — Panie, dzieci moje — Panie, wszyscy, którzy cierpią“ — mówiła modlitwa, a kolenda przerwana, nową nutą na nowo się rozbrzmiewała i do pokoju wpływała:

Łaski przynosi
Temu co prosi,
Odpuszcza grzechy,
Daje pociechy...

. . . .

Gdy słowo jakie wiatr uniósł — młot je dopowiadał — gdy myśl pieśń porwała, łza na nogi Chrystusowe spływająca miejsce jej brała...

Pieśń ucichła i modlitwa była skończoną — krzyżyk napowrót zawiesiłam, a gdy znów ten niezmordowany powietrzny śpiewak się odezwał, wyszłam na ganek, potem za głosem idąc, do ogrodu. Nie potrzebowałam iść daleko, za szpalerem na ekonomówce dacharz dach pobijał i śpiewał:

O Miłosierna miłosierdzia żądam,
Żywota pragnę, litości wyglądam,

a młotem wbijał gontale w gonty. Ja słuchałam i nie mniej jak rano tonęłam w dobrze znanych słowach i nucie — nie mniej jak rano „tuk, tuk“ młota i serca razem im wtórowało. Czemu? nie byłabym umiała powiedzieć może, ale było coś tak poważnego a uroczego w tych pieśniach, jakby obkutych młotem pracy — w tych słowach miłości i wiary i nadziei unoszących się z ust jednego z maluczkich przez Pana

ukochanych ponad tą ziemią gnuśną, dla której życie swe dał — że płynęły nauką, więcej jeszcze niż pieśnią i modlitwą. I nie ja sama słuchałam i rozumiałam pobijacza — widziałam przez szpaler na drodze dzieci wiejskie zbite w kupkę, z główkami wzniesionemi ku niemu — a chłopi przystawali przy dzieciach na chwilkę, a potem szli dalej, zdejmując kapelusze, jak przed figurą św. Jana zwykli byli je zdejmować.

Zabrakło pobijaczowi gontów czy gontali, przerwał więc pieśń i robotę i odwrócił się czegoś szukając. Był to człowiek przygarbiony i szczupły, lecz silnie zbudowany — spokojnie, cicho a bezpiecznie jak po ziemi, po niepobitym dachu chodzący.

— Daj Boże szczęście! — głośno wyrzekłam.

— Daj Boże, Bóg zapłać — odrzekł i zdjął spłowiałą czapkę z głowy, a wiatr rozwiał rzadkie włosy, bielsze niżli się spodziewałam je ujrzeć; twarz była ściągła, oczy łagodne, wszystko razem w doskonałej harmonii z głosem i pieśnią.

— To wy tak śpiewacie? — spytałam.

— A ja, proszę Jasnej Pani.

— A wy skąd?

— Z pod Komarna.

— Ale tu pierwszy raz w robocie, prawda?

— Ej nie pierwszy, moja Jasna Pani, ale ja tu chłopakiem jeszcze pracował — za starszych państwa — też dobre było państwo — ale potem się ożenił ja aż za Jasło i dopiero dużo lat potem wrócił w swoje strony.

— A ileż lat macie, że tak się nie boicie chodzić po dachu? — spytałam jeszcze, aby rozmowę przydłużyć.

— Już na Kaspra św., to jest na Trzech Króli, będzie sześćdziesiąt i dziewięć... Oj tak moja Jasna Pani! nie jedno się już przeżyło... sześćdziesiąt i dziewięć — tak, tak...

— I macie żonę i dzieci w tych stronach?

— Nie. Wsi pomerły — z ruska odpowiedział i począł gont przybijać; a mnie wstyd jakiś ogarnął tak pytaniami dalej życie ludzkie analizować, więc chwilę postałam w milczeniu, patrząc na tę odkrytą białą głowę, a potem odchodząc dodałam:

— Zostańcie z Bogiem, panie majster!

— Nej Bob prowadzi — odrzekł, a zaledwo do pokoju wróciłam, już znów pieśń brzmiała. Może wątek jej rozmowa ze mną mu przerwała, ale może i pytanie ostatnie środkowe jej zwrotki pochłonęło, dość, że teraz ostatnią już stary śpiewał:

A dusze zmarłych, które się dostały
W męki czyśćcowe, by się wypłacały,
Niech je wybawi Twoja przyczyna,
Gdy Ci śpiewamy: Salve Regina.

. . . .

II.

Często wpadnie coś znienacka w nasze życie i wstępnym bojem zdobędzie sobie w niem prawo obywatelstwa. Tak było ze sprawą mego dacharza. Po kilku dniach wszyscy domowi życzliwie byli przywykli do pieśni i postaci jego; ale dla mnie jedna, jak druga, odrębne jakieś miała znaczenie, i to dla siebie tylko chowałam. Wiedziałam już, że spoczywa w pracy dwa razy dziennie, raz przed południem, i znów około czwartej po południu, właśnie w owych godzinach ciszy domowej, gdy bywałam samą. Chadzałam więc ku ekonomówce czasem z lampką wina, czasem tylko z słówkiem do mego przyjaciela...

Raz zastałam go siedzącego pod kasztanem z kawałkiem chleba i sera w ręku. Wstał na moje powitanie, ale że mu usiąść kazałam, napowrót usiadł, zdejmując tylko czapkę, którą rzucił na ziemię przy sobie.

— Co to było dziś rano — zapytałam, aby pogadankę rozpocząć — że gdyście zaśpiewali „Preczystaja Diwa Marya“, tyle głosów wam zawtórowało, a potem ucichło potrochu?

— A to ludzie szli w pole, proszę Jasnej Pani, bo jak tak więcej ich zobaczę, to zawsze dobiorę coś takiego, coby każdy znał jak śpiewać, żeby to tak — myślę sobie — poszło za nimi na cały dzień... bo to, moja złota Pani... jak tak człowiek cały dzień sam na dachu, to dalibóg całkiem ina-

czej jakoś myśli, niż myśli między ludźmi... Ja to, bywało, jak między nimi pracowałem, co tom się nazłościł nieraz! a nasmucił! jak żeby każdy po biedach moich, hej po żywem ciele skrobał... czasem to mi się zdawało, że każdy moje powietrze łyka, tak mi go mało wszędzie było... a potem... jak Pan Bóg dał wrócić do swojej roboty na dachu, znowuś od razu całkiem inaczej było... Teraz to choćbym chciał, złościć się już nie umiem... Za toć to znowu bym tylko dawał, żebym miał co... ino że niema co... — i cicho się zaśmiał, a po chwili głowę podnosząc, jakby w natchnieniu, już znać z pełności serca, mówił dalej: — A jak patrzę na ludzi, co idą drogą, a pomyślę, że ten może idzie po trumienkę dla swego dziecka — tu mu głos zachrypł i przystanął chwilę — a że tamten może idzie gdzie ostatnie swoje szmaty zastawić, a to młode w służbę do obcych ludzi może idzie, a znowuż że ci państwo, co jadą powozem, jadą z taką biedą, na jaką żadne majątki nie poradzą, to mi tak serce do nich wszystkich się rwie, dalibóg, jak do własnych dzieci, i każdemu z nich błogosławiłbym... a czasem jak śpiewam, to mi się zdaje, że i błogosławię... że hej kwieciem za nimi rzucam i że gdyby ino który pieśń podjął, lżejby mu było, choćby jaką biedę dźwigał... bo te pieśni wszystkie takie słodkie, moja Jasna Pani...

Teraz to ja krząkałam, a stary tymczasem nożem krajał chleb i ser i jadł, a liście drzewa nad jego głową wiatr poruszał, więc jasne promyczki glaskały białe włosy i znikały... Usiadłam i ja na zwiniętych matach inspektowych, parasolką rysując na piasku i pytałam, w piasek też patrząc:

— A któż was śpiewać nauczył?

— Otóż to właśnie, moja złota Pani — żywo odrzekł — że i na mnie to śpiew jak kwiat z góry spadł. Hej dług, chciałbym go oddać, a potem — ot co! jak człek wszystkiego po trosze skosztował, prawdać to, że wie, co boli, ale wie także co, czasem lepiej niż lekarstwo, pomoże.

— Jakto z góry na was śpiew spadł? — pytałam, ale nieśmiało, myśląc, że rozumiem go lepiej, niż on mi się wytłómaczyć zdoła.

— To się ino tak mówi — odparł — bo małym chłopakiem byłem, gdym go pierwszy raz usłyszał, a na dachu był majster, który śpiewał.

— Jakto?! — zakrzyknęłam — tak jak wy dziś śpiewacie?! pobijając dach?!

— A takoj że tak! bo jak my, to jest ojciec mój i matka, jak my mieszkali w Komarnie, raz zgodził się majster z Rudek pobić szopę w skarbie, a ja poganiał konie przy maszynie, jak raz kazali stanąć z końmi w kieracie, aż tu słyszę z góry taki śpiew, com myślał z początku, że to Anieli z nieba śpiewają, jak stoi w kolendzie... i aż mi tchy zaparło, tak słuchał ja — a majster coraz nowe pieśni śpiewał, bo był z Rudek, gdzie to zawsze moc narodu na odpusty przychodzi do Cudownej Matki Boskiej, więc umiał tych pieśni świat! Otóż jak skończył robotę, a widział, że ja ciekawy do niej, i do pieśni, rozmówił się z ojcem i ja prosił coby pozwolili... i tak dali mnie na pomocnika jemu do Rudek. A że było niedaleko, a majster był sprawiedliwy człowiek, i mówił co jakbym się pieśni wyuczył, możebym kiedy i na kościelnego wyszedł, wszyscy radzili, że tak dobrze będzie. I było dobrze!... wyuczył mnie majster rzemiosla swego, wyuczył i śpiewać — Panie daj mu niebo! — i czytać, a potem z krewniaczką swoją ożenił — a już potem to się biedowało... ot co gadać! trza do roboty iść.

Nie wstrzymywałam go — wstał, wypił wino, pocałował mnie w rękę i po drabinie wyszedł na dach, skąd po chwili, z odgłosem dzwonów na „Anioł Pański“ dzwoniących — zaprawdę „jak kwiat spadł“ znów na mnie głos jego śpiewający:

Anioł zwiastował Pannie Maryi
I poczęła z Ducha Świętego
Zdrowaś Maryo!

. . . .

A myśl moja wstecz leciala po słowach starca i dziwna ta tradycya pieśni — apostolstwo jej, rzucane jak kwiat — błogosławieństwem za ludźmi, wirowało mi po duszy, jak to

dzikie nasionko, które wiatr niesie, niesie, aż zawsze gdzieś zaniesie, gdzie spocznie, zejdzie i w drzewo urośnie.

. . . .

III.

Tego samego dnia po południu, gdy z garnuszkiem kwaśnego mleka przyszłam do mego starego, on właśnie z dachu schodził. Podczas gdy on mleko duszkiem wypijał, ja na matach znów siadałam i jakby nieprzerwaną rozmowę dalej ciągnęłam:

— Czemuż to biedowaliście, ożeniwszy się?

— Ot! moja Jasna Pani, ja był przywykł do spokojnej roboty z majstrem. Cośmy się podjęli zrobić, to my robili uczciwie i śpiewali sobie, albo rozmawiali... Pobijali my dachy cerkwi i kościołów, domków i pałaców, czasem i chatę my poszyli, a majster dużo widział świata i znał dużo rzeczy... i tak jak mówiłem, moja złota Pani, inaczej się człowiek patrzy na ludzi i ich sprawy, kiedy go ludzie nie poszturkują... otóż i my tak się patrzyli na tych, co ich domy pobijali my, i tak sobie rozmawiali, i pośmieli się nieraz, i znowuś śpiewali, a na życie przy tem zarabiali... Potem jak się ożeniłem, brat żony miał warsztat tkacki i płótna na jarmarkach sprzedawał. Chcieli wszyscy, żebym i ja na współkę z nim pracował, ja się sprzeciwiać nie umiał, ale ta robota nie od ręki mi szła; jeszcze pókim przy warsztacie siedział, dobrze było, bo płótno dobrze mi się robiło, a myśli i pieśni przesuwały się i krzyżowały jak nitki — ale na gospodarstwie i targu nie znał się ja, swarzyli się ze mną, mówili, że przez to tracą, bo handel nie idzie — dzieci troje pochowałem... i tak szło coraz gorzej, i tak mi już duszno było w tej chałupie, i między tymi ludźmi, i nawet przy warsztacie, że jak znów Pan Bóg dał chłopaka, Stefka — tu stary zamilkł na chwilkę, nachylił się, zerwał trawkę i wkoło palca począł ją sobie zwijać — powiedziałem żonie, że już nie wytrzymam bez dawnego rzemiosła i swoich stron, a że ona była dobre i też już zbiedzone kobiecisko, zabrali

my się oboje ze Stefkiem i nazad przywędrowali w te strony i pod Komarnem osiedli.

— I wtenczas znów lżej było, ludzie mnie zdawna pamiętali, brali do roboty i pieśni dawne wracały mi do myśli, a jak jeszcze czasem gdzie blizko trafiła się robota, a kobieta ze Stefkiem obiad mi wynosiła i chłopak z dołu śmiał się do mojej kolendy i klaskał w łapięta i wołał: „Tatuś motek! tatuś motek!“ żebym mu mój młotek zniósł, to, moja Jasna Pani, dalipan tak mi było, jak i królowi lepiej być nie może!... Straszliwie bom tego chłopaka kochał... Raz przyszła z nim żona, a on już dobrze biegał, bo miał trzeci rok — i młotek był mi spadł z dachu — a że jeszcze gontale zbierałem, nie spieszyłem po niego; a tymczasem ten robak mały zobaczył i podjął go i nuże z nim na drabinę się gramolić!... Był już coś na czwartym szczeblu, jak go matka zobaczyla, a że to każda niewiasta popędliwa, jak się o dziecko zlęknie, chwyciła go na ręce, ta i dobrze trzepnęła po koszulinie; krzywdy ona mu tam, moja Jasna Pani, nie zrobiła, wiem ja to dobrze, bo jak światłość ócz swoich go miłowała, ale chłopak płakał i krzyczał: „Motek tatusiowi!“ bo wiedział, że on zbytku nie chciał, ino mnie młotek oddać, i myślał, że robi co najlepszego... i ot co!

Tu już nie krząkał stary, ale siwa, nieogolona broda drgała i kurczyła się jak bródka dziecięcia do płaczu, a duże dwie łzy odrazu spadły na palce ciągle trawkę zwijające.

— Ot co, moja Pani złota... po Wniebowzięciu będzie temu trzydzieści i dwa roki, a jak sobie ten krzyk przypomnę i że to niby przezemnie chłopak wtenczas płakał, to jak żeby mi jeszcze dziś pies serce kąsał. „Motek tatusiowi!“ moje ty złoto drogie!... Potem my się śmieli i Stefek się śmiał i wkoło drabiny biegał i udawał, że chce na nią leźć, żeby to my się nibyto strachali... ale jak na jesieni Pan Bóg go zabrał, to przez jakie dwanaście niedziel zdawało mi się, że chyba ten jeden młotek, którym on się bawił... miłym mi na ziemi... ot! ten sam!... — i dobył z kieszeni skórzanego fartucha młotek o rączce z użycia czarnej jak heban, a żelazem połyskujący jakby stalą — pocałował go —

i mnie podał — wzięłam do ręki i chciałam też pocałować, ale jakoś nie śmiałam, a stary dalej jakby przed siebie opowiadał: — Jak dziecko umarło, żona wpadła w tyfus, potem w żółtaczkę — zima była ostra, żadnego dachu nie można było pobijać, a z wiosną żona umarła — ot i tak — już trzydziesty drugi rok idzie, jak sam zostałem, ale Pan Bóg dobry i ludzie dobrzy... jak mogę co któremu dać, to mi się zdaje, że Stefkowi daję, a jak śpiewam o chwale Bożej, o Dzieciątku Jezus i o Maryi Pannie, to mi nieraz tak na sercu, jak żebym nie był nigdy biedy zaznał... ot! rozgadał się stary, moja Jasna Pani — bo ja znam, że i wy nieraz płakali, inaczej nie słuchalibyście mnie tak... a teraz trza swoje manatki zebrać, bo już słonko dobrze zaszło... ot! jeszcze ze dwa dni, ta i będzie dach skończony... Ostańcie z Bogiem, moja złota Pani!

Skłonił mi się do kolan, zarzucił torbę na ramię i odszedł, nucąc — nucąc coraz głośniej, im dalej odchodził:

Hejnał wszyscy zaśpiewajmy,
Bogu cześć i chwałę dajmy...

Głos ginął z zakrętów ścieżki, urywanemi już tylko dolatując mię słowami:

Światłością Syn Twój Jedyny
Broń nas od czartów mocy
..... świata nawałności

i postać w zmroku się skryła...

. . . .

„Wiarą i cierpieniem dokupił się łaski miłości“ — powtarzałam sobie, wracając ku domowi. I jasna główka Stefka, i twarz starca, płacz dziecka, ból i pieśń, i słowa słyszane, i to, co dopowiedzieć się nie dało — wszystko razem jak dym z kadzielnic w oczach moich wznosiło się w górę... w górę... coraz wyżej...

IV.

Jak późną wiosna, tak długą i pogodną była jesień owego roku. W listopadzie na św. Marcina śnieg zaledwo przyprószył ziemię, kilka mrozów ścięło wody, a potem dnie łagodne, często ciepłe i słoneczne, mgły poranne, nieba jasne, ziemie świeżo poorane, wszystko wyglądało jakby na wiosnę, tylko że w powietrzu była martwota miast życia, tylko że nic nie drgało w pulsach ziemi, tylko że woni żadnej wiatr od łąk nie przynosił i że zamiast skowronka i jaskółki, nad polami kruki i gawrony całemi gromadami unosiły się, krążyły i jak nieszczęście na ziemię zapadały.

Znów mój przyjaciel pobijacz dachów przed kilku tygodniami był się u nas zjawił, bo szkoła była do pokrycia. Gdy skończył tę robotę, prosił, aby póki pogoda sprzyja, mógł jeszcze dach na kościele ponaprawiać: „Jak ja go połatam, długie jeszcze lata potrwa, a pobicia nowego ja się nie doczekam... proszę bardzo ślicznie, moi państwo“ — powtarzał kłaniając się i po rękach całując, a nikt nie miał odwagi prośbie jego się przychylić, bo taki strach brał o stare kości.

Wreszcie postawił na swojem i powierzono mu naprawę dachu na kościele, a kościół był wysoki, i dach wysoki i stary. Odmłodniał mój dacharz z radości i więcej niż kiedykolwiek śpiewał, ustawiając rusztowanie z drabinami i gonty sobie dobierając. Co rano zaś zanim jeszcze ze Mszą św. ksiądz proboszcz wyszedł, już można było widzieć postać jego klęczącą przed ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej — fałdy starego płaszcza ginęły w cieniu podłogi, wkoło podniesionej głowy jakby światłość jaka rozwiewały się białe włosy, a skoro tylko Msza św. skończoną była i rozwidniło się, już gdzieś wysoko w górze unosił się głos:

Gwiazdo morza, któraś Pana
Mlekiem swojem karmiła...

i tuk — tuk — tuk — jak na wiosnę, i więcej jeszcze teraz z wysokości domu Bożego do serca mego dochodziło. I jak

na wiosnę — „Daj Boże szczęście!“ — odjeżdżając do staruszka wołałam, a jak błogosławieństwo codzień to samo — w odpowiedzi zlatywało ku mnie: „Daj Boże! Nej Boh prowadzi!“

Już dużo nowych płatków świeciło na dachu i mało pozostawało roboty do ukończenia, gdy nastały dnie słotne, a dopiero na samą Wigilią wypogodziło się lekkim przymrozkiem; a ziemia i drzewa śniegiem się posrebrzyły, jakby tylko dla przyozdobienia szopki Pana Jezusa, bez dokuczenia biednym ludziom zimnem.

Świętował więc nasz stary z nami. Gdzie się było ruszyć brzmiały i dźwięczały jego kolendy — coraz to nowe — choć coraz starsze, smętne, skoczne, polskie, ruskie, jak z roga obfitości sypał. Śpiewał w izbie czeladnej, a czeladź i dzieci wiejskie wkoło ognia przy nim się cisnęły, słuchały, powtarzały. Śpiewał w naszej sieni, a myśmy słuchali i powtarzali. Śpiewał nawet na drodze, a ludzie z nim śpiewali, i z nim do kościoła szli. Po Świętach śnieg na trzy dni przed Nowym Rokiem znikł, znów i rozświecił dzień jakby wiosenny. Nazajutrz tego dnia po Mszy św. kończyłam swoje modlitwy, a stary na dachu kończył robotę swą... Wyszłam potem z kościoła i czekając na nadjeżdżającą po mnie dorożkę, patrzałam na to, co mnie otaczało. Cicho było bardzo wkoło kościoła — jakiś wyrostek wychodzący na drabinę niósł dacharzowi gonty; kościelny zbierał stare z dachu spadające, a synek jego, małe chłopię, gramoliło się na pierwsze szczeble drabiny. W górze jak zawsze dźwięczała pieśń, może mniej głośna niż zwykle, jakby senna lub znużona — młot wtórował jej — stary siedząc na samym szczycie dachu śpiewał:

Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj!
A Ty Go Matulu w płaczu utulaj!
Zamknijże znużone płaczem powieczki,
Utulże znużone łkaniem wardżeczki,
Lulajże lu....

Wtem pacholę usadowione na drugim szczeblu drabiny zesunęło się na ziemię, z całej siły wrzeszcząc: „Tatuś ra-

tujcie!" — a wrzaskowi temu, w tej samej chwili drugi, straszny z góry odpowiedział: „Stefek!" Stary jakby ze snu był się zerwał na nogi — zachwiał się, ręce rozkrzyżował i leciał po dachu....

. . . .
. . . .

Gdy odsłoniłam oczy leżał przy dziecku, u nóg wyrostka stojącego jeszcze na drabinie z gontami w ręku — leżał na wznak, oczy były zamknięte. Wiem, że potem klęczałam przy nim i rękę na głowie jego trzymałam, gdy wyrostek nad nim nachylony zawołał: „Wody, wody, jeszcze żyje!" Na to stary rozwarł szeroko oczy: „Kto żyje? Stefek?" — i znów je zamknął. Ksiądz już szedł z Panem Bogiem, więc wszyscy poklękali — gdy przysunął Hostyę Przenajświętszą do ust, otworzyły się i przyjęły ją, a po namaszczeniu olejami św. raz wyrzekły: „Amen". Potem ciężko oddychał i poruszał prawą ręką, jakby czegoś szukając. Po chwili zaczął szeptać, ale trudno było dosłyszeć słów, które się cisnęły prędkie, krótkie, ciche, jak tętno umierającego, niektóre jednak były wyraźniejsze: „Motek tatusiowi chciał podać — dziecko się zabiło — ucieka dach ucieka — ucieka — wszystko ucieka — kolenda ucieka — już Zmartwychwstanie — Lulajże — nie — ucieka dach — ucieka — zmartwychwstanie — Alleluja" — i tu znów się oczy otworzyły, ale jasne, spokojne, dawne jego oczy. Szept ucichł, a słowa wolne, wyraźne, nawpół śpiewne, choć ciche, ze zsiniałych ust razem z oddechem ulatywały: „Tak — Alleluja! —

Wesoły nam dzień dziś nastał
Chrystus zmartwychwstał
Alleluja — Alle — luja —
. . . .

I z ostatnią nutą — ostatni dech ustał — nawpół powieki na oczy się zsunęły — jakaś światłość po rysach przeszła — i wszystko było skończone...

V.

Po kilku tygodniach znów byłam jednego dnia w kościele — i znów po Mszy św. sama w nim zostałam. Usłyszałam kroki jakieś we drzwiach, trochę później zaś wdzięczny, młody głos nucący kolendę, a uderzenia młotka — poznałam je — jakby z pod ziemi głucho mu wtórowały. Przeżegnałam się dziwnym lękiem ogarnięta — i nie mogąc już myśli zebrać, wyszłam z kościoła. Przy drzwiach stał ów wyrostek, którego widziałam nachylonego w ostatniej chwili nad moim starym: nucił sobie kolendę i młotkiem machinalnie w mur uderzał. Gdy mnie ujrzał, zdjął czapkę, i całując w rękę, podał mi młotek. „Ja chciał prosić, czy Jasna Pani pozwolą, żebym ja zatrzymał sobie ten młotek... bo to młotek tego... tego starego, co to się zabił tu — znalazłem go na ziemi jak ciało zabrali... i żal mi... żeby nie zmarniał — a może Jasna Pani wezmą go sobie“? Milczał chwilę — a potem znów zwolna w mur uderzając, zwolna też mówił: „Od czasu, jak ja tu przy nim był... to ciągle mi się zdaje, że on z dachu na mnie woła — a jak wiatr w nocy zaszumi, to mi się zdaje, że jego kolendy do mnie niesie — i tak ja sobie już powiedział: nie mam ojca ni matki, co mają mnie ludzie między sobą poniewierać — na dachu lepiej — nauczę się pobijać, ta i będę, jak stary, sobie zarabiał i śpiewał; i ja już prosił majstra z Janowa co mnie nauczy pobijania... ino jeszcze ja chciał się spytać Jaśnie Pani o ten młotek, bo ja znam, co i Jasna Pani o starego dbała“.....

. . . .

. . . .

I poszło chłopię w świat z młotkiem i pieśnią. Myśli Bożej nasionko dalej Duch Boży poniósł.

Przyłbice 19 — 20 grudnia 1887 r.

II.

Legenda, jakich ludzie mało, Bóg wiele zna.

Nad brzegiem morza leży wioska mała i biedna — opodal sterczy, jakby wieża kościoła wśród miasteczka, pomiędzy skałami mniejszemi, jedna wyższa, dziksza i smutniejsza od wszystkich, którą dziś lud zwie „Skałą ofiary“. Gdy na morzu burza szaleje, u szczytu tej skały dziwne światło świeci, które dobrze znają okoliczni rybacy, bo niejednemu życie uratowało — to też zdaleka, gdy widzą tajemnicze jego błyski, żegnając się, mówią: „Miłość się świeci“, a jak pytać, co znaczy to powiedzenie, opowiadają taką legendę:

Przed laty, niewiadomo skąd, przybył do wioski człowiek dziwnie mądry i dziwnie dobry — choć był ubogi, zawsze umiał w biedzie każdego poratować, choć mówił mową tak prostą, że rozumiało go dziecko najmniejsze i starzec najstarszy, jednak zdawało się jakby codzień się uczył czegoś nowego, bo codzień też i drugich uczył; choć twarz miał zawsze pogodną, jednak mówiąc z nim, każdy czuł, że on więcej od innych w życiu pracował... więcej może i cierpiał... Gdy przybył, widzieli go tylko wiele modlącego się — później chodził coraz częściej na najwyższą ze skał, i to wtedy, gdy noc się zbliżała, a z nią chmury, burze zwiastujące; i wtenczas widzieli wszyscy, jak tam wielki ogień się zapalał i całą noc świecił, a rybacy, patrząc nań, omijali złe wiry... Wreszcie i zamieszkał na skale. Postawił sobie chatkę — w niej nad tapczanem duży krzyż zawiesił, a wkoło chatki na skały nawiózł ziemi i rokrocznie sadził kilka drzewek, ale żadne nigdy przyjąć się nie chciało; to też parę razy do roku widzieli ludzie, jak opuszczał chatę

i szedł w głąb kraju gdzie lasy i góry, a po kilku dniach wracał ztamtąd jakby młodszy, a ludzie mówili, że musiał dzieckiem gdzieś rosnąć razem z drzewami, kiedy je tak kocha, że chodzi do lasu jakby do cudownego miejsca.

Nareszcie jednego roku, czy słońce mniej paliło, czy już tak Pan Bóg chciał, przy chatce, na skale, zazieleniło się jedno drzewko, a zazieleniło się tak ślicznie, że nietylko obcy człowiek, który się niem cieszył, jak matka pierworodnym synem, ale i ludzie ze wsi mówili, że podobnego drzewka i w lesie nie spotkać...

Lata mijały — prawda, że drzewko rosło, ale i człowiek się starzał — do lasu już nie chodził, może dlatego, bo swoje miał drzewko, ale może i dlatego, bo mu za ciężko było... Schodził tylko do wioski po chleb dla siebie i po suche gałęzie lub trzaski, aby wśród burzy rozpalać ogień na skale dla rybaków — później już i schodzić mu było trudno — wtedy umówił chłopię ze wsi, aby mu przynosiło chleb i drzewo na ogień, a o drzewo więcej niż o chleb mu chodziło.

Jednego dnia kazał chłopięciu przynieść drzewa i prosić księdza proboszcza — nazajutrz więc z chłopięciem przyszedł i ksiądz, chłopię składało trzaski, dwaj starcy z sobą rozmawiali, i później chłopiec opowiadał, że obcy człowiek kilka razy powtarzał, iżby mu nie żal było umierać, jeno mu żal, że ognia już na skale nie będzie komu rozpalać, aby rybaków ratować i że gdyby miał jaki skarb, dałby go cały na ofiarę do kościoła, żeby Pan Bóg przysłał kogoś, któryby po śmierci jego ognia podczas burzy pilnował — a ksiądz na to odpowiadał tak jakoś, że wszystko, coby mu było drogie, a coby Panu Bogu dał, to będzie twój skarb. I potem, raz jeszcze, zeszedł obcy człowiek do wioski — był w kościele, spowiadał się, przyjął Ciało i Krew Pana Jezusa i długo się modlił, potem wszystkich pozdrawiał i opowiadał, że mu dobrze na skale, bo drzewko coraz więcej cienia daje, ale że bez tego cienia trudnoby mu i żyć, bo słońce bardzo pali starą głowę i razi stare oczy... I poszedł.

Jesień nadeszła, a z nią najgorsze burze; raz szło chłopię pod górę na skałę (samo później to opowiadało) z chle-

bem i drzewem na ogień -- wicher dął i deszcz padał, chłopię się pośliznęło, za ciężko było drzewo dźwigać, to i rzuciło je, myśląc, że na jeden dzień stary bez swego ognia się obejdzie, zaniosło mu tylko chleb. Starzec, widząc, że drzewa niema, jęknął, mówiąc: „Burza będzie, a niema co zapalić!“ — potem długo, długo myślał i patrzał w niebo, i trochę klęcząc, modlił się — chłopię, widząc, że mu przykrość zrobiło, chciało po drzewo wracać, ale go nie puścił, bo już burza się zrywała, tylko z uśmiechem (dziecko później mówiło, że taki uśmiech jakby słońce zaświeciło) powiedział: „Jak się ściemni, a będzie potrzeba, moje drzewko zapalę“, co jakoś tak dziwnie było słyszeć, że aż strach zbierał...

Później trochę ułożył chłopię do snu na tapczanie i przykrył je, bo zimny wicher dął, a sam pozbierał trzaseczki, które z ostatniego ognia były pozostały i zaczął je rozpalać tuż pod samem zielonem drzewkiem. Chłopięciu serce się ścisnęło i zamknęło oczy, bo mu jakoś tak straszno było patrzeć na starca, i na drzewko, i na to, co się stać miało... Burza coraz bardziej huczała... ale chłopię było młode, zmęczone... ot i usnęło...

. . . .

Nagle wielka, wielka, wielka światłość je ocknęła... drzewko stało w płomieniach... Starzec klęcząc modlił się...

. . . .

. . . .

W parę miesięcy potem obcy człowiek umarł — pochowali go na miejscu gdzie rosło dawniej drzewko... podczas burzy dziwne światło rybakom stamtąd przyświeca... a ludzie żegnając się mówią: „Miłość się świeci“...

Żegiestów, 22 lipca 1882 r.

III.

Wołowe oczko.

Było raz Wołowe Oczko wysokiego rodu, bo wprost z Raju się wywodzące; małe, szaro-rdzawe jak wszystkie, i jak wszystkie też od stworzenia swego, wierne temu, czego wtedy Bóg ich nauczył.

A jam była z wyższego, bo królewskiego rodu... ale ród mój nie był wiernym, jak ród Wołowego Oczka — była na nim wina wielka i kara wielka srożyła się i grasowała wśród niego, i grasować miała póty, póki straconego królestwa swego na wrogu nie odbije. Otóż stało się, że owo Wołowe Oczko wpadło w życie moje, a jako przypomniało i wysokość rodów naszych, i karę na moim ciążącą, i królestwo obiecane — zaraz opowiem.

Byłam chorą i często samotną, a za mną w życiu leżało już wiele powiędłych kwiatów, choć wiele też z nich gwiazdami na niebie świeciło, i wiele radości było, z których krzyże wyrosły, ale więcej krzyżów, które kręgiem łask, jakby promieni, jaśniały.

Jednego dnia wieczorem pastuszek przyniósł dziecku Wołowe Oczko — i to nazajutrz latało po pokojach, latało nie trzepocząc się o szyby, lecz czepiając się wszędzie, gdzie słońce się czepiało.

Lubiło światło, tak jak ja, i zrozumieliśmy się najpierw w tem.

Nie chciało jeść ziarna i bułki, którą mu sypaliśmy, lecz szukało po szparach pokarmu, który Bóg mu wyznaczył — znów tak jak ja — i rozumieliśmy się coraz lepiej. Gdy południe minęło, Wołowe Oczko przestało trochę latać, a więcej biegało po podłodze jakby szara kuleczka, a gdy pióreczka zaczęły się puszyć, a Wołowe Oczko, znalazłszy promień słońca łamiący się w rogu muru, usadowiło się w nim, ślepki mrużąc jakby do snu, zrozumiałam, że śmierć idzie na braciszka mego — Wołowe Oczko. Przyklękłam więc przy niem i przemówiłam cicho i pieszczotliwie, jak do chorego

dziecka się mówi. Wołowe Oczko otworzyło ślepki, a zarazem po raz pierwszy zaświergotało mi w odpowiedzi — rozumiało jak ja, że śmierć idzie, a że to, co do niego przemawia, to życie — uczuciem więc i mową rozumieliśmy się coraz lepiej. Siadłam opodal, tak, że mogłam dojrzeć i śledzić stworzeńko Boże, ale ono mnie nie widziało — posuwało się w miarę, jak słońce się posuwało, pusząc swe piórka i ślepki zamykając. Nagle wyciągnęło w górę szyjkę, piórka zgładziło, zaświergotało, pobiegło kilka kroków ku mnie, a gdy mnie ujrzało, przechylając główkę, niby z zapytaniem, powtórnie zaświergotało — i czekało.

„Jestem tu! maleńkie!“ — odrzekłam, a ptaszę zadowolone z odpowiedzi, wróciło do słoneczka swego.

Za chwilę znów, bez świergotu, ale szybko, szybko jako zdążyło, uciekając przed czemś... przed tą śmiercią, której lęk wszystkie inne zaciera — szybko, szybko wprost do mnie przybiegło Wołowe Oczko i skryło się w leżące na ziemi fałdy mojej sukni; ruszyć się nie śmiałam, by nie nadeptać na nie — ale po chwili uniosło się chyżym, cichym lotem, i na łóżku mojem usiadło.

Nad łóżkiem wisiał obraz Chrystusa Pana.

Wzrok mój obejmował razem Bożą postać i ptaszynę u stóp Jej dogorywającą — a napowrót wzrok Chrystusa ogarniał miłosiernem Bożem Swem wejrzeniem ptaszynę i mnie...

W promieniu tego wzroku i miłości jego zbliżyłam się do braciszka mego — tak blizko, tak blizko, że wreszcie twarz moja spoczęła na łóżku, a napuszone piórka ją muskały... znów ślepki się otworzyły i świeciły mi tuż w oczy. Chciałam pogłaskać piórka, by biedne nie puszyły się tak, ale to ptaszynę przelękło, z piskiem uleciała w powietrze, lecz zaraz spuściła się ku podłodze i znów do kąta pobiegła — ale słońca tam już nie było...

Usiadłam i chciałam czytać, ale nie mogłam, bo myśl do Wołowego Oczka uciekała.

Zawołałam na nie cichutko, jak pierwej, natychmiast świergotem mi odpowiedziało — tak samo raz drugi, i trzeci, i czwarty — mało słów, dużo miłości, jak między przyja-

ciółmi. Potem raz jeszcze zawołałam — nic mi nie odpowiedziało, znów raz — nic.

Szukam więc okiem w kąciku — już nic tam nie było, lecz o krok bliżej, ku mnie dzióbkiem zwrócone, jakby w biegu uchwycone, leżało nieżywe Wołowe Oczko...

Wzięłam maleństwo do ręki, a podnosząc je do ust, oczy moje spotkały oczy Chrystusa Pana, znów na nas oboje miłościwie patrzące. I znów twarz przytuliłam do piórek już nie napuszonych, a gdy duża gorąca łza na nie spłynęła, zdało mi się, że spływa, bo już na nią miejsca niema w sercu, sytem kary na ród mój wymierzonej — sytem rozłączeń, śmierci, tęsknoty...

Pod wejrzeniem Pana serce syte wygnania rwało się do ojczyzny.

„Przyjdź Królestwo Twoje! Przyjdź Królestwo Twoje! Przyjdź Królestwo Twoje, Panie!“ — powtarzałam, a zdawało mi się, że razem ze mną wszelkie jęki ziemi temi słowy się modlą, zdawało mi się, że we mnie, stojącej przed Tym miłościwym Chrystusem z nieżywą ptaszyną w ręku, całe stworzenie do Stwórcy Swego woła, przeprasza, błaga... „Przyjdź Królestwo Twoje! Przyjdź Królestwo Twoje! Przyjdź Królestwo Twoje!“...

W godzinę potem miłująca ręka dziecka pochowała w ogrodzie Wołowe Oczko — a gdym tego wieczora złożyła chorą głowę na poduszce, dźwięczał nad nią świergot, którym odpowiadało mi tak długo, jak długo żyło — i prosiłam ja z rodu niewiernego, bym tak, jak ona ptaszyna z rodu wiernego, do ostatniego tchu mego wołaniu Twemu, Panie, odpowiedzieć zdołała! — Co daj Boże mój — Amen.

Dnia 3 grudnia 1888 r.

IV.

Wigilia Nowego Roku 1868.

Żegnaj mi stary roku, stary towarzyszu... rozwarte już przed tobą wrota, za któremi tyle, tyle starszych twych braci się skryło — idźże i ty za niemi — na ciebie kolej, idź złożyć u stóp Pana Zastępów księgi twych dziejów. Zbierz dnie twe ciemne i dnie jasne, burze i cisze, i uczynki miłosierdzia w miłości dane, w wdzięczności przyjęte, i hymny bólu i hymny radości, i modły i prośby, i krzyże poddaniem uświęcone, i rozstania nadzieją opromienione, i grudki ziemi ofiarą w gwiazdy przemienione.

Zwiąż to wszystko stary roku w jasny wieniec, a zroszone naszą ziemską rosą łez, zawieś u stropów wiecznych, boć skończone twoje żniwo... Ja cię żegnam w miłości, stary roku, dziecię Boże... skończona twa praca — idź w pokoju... może w twój wieniec wpleciony zaniesiesz i mój tam jaki kwiateczek, który sercem dany, z miłosierdzia przyjętym będzie. Do zobaczenia, stary roku, w on dzień, kiedy ty i ja z grobu powołani staniemy przed Sędzią naszym — ja winowajca, Ty świadek — świadcz mi miłościwie wtedy, przyjacielu, świadcząc o dniach zmarnowanych, o łaskach zapoznanych, o darach nieużytych, o gniewach i niewdzięcznościach, ach świadcz także, roku stary, o tem źródełku, które tyle, tyle w oczach Pana zmywa, a któreś widział dzień po dniu wytryskające tak wiernie, choć często słabo i nieużytecznie — świadcz o tej „dobrej woli“, którąś zastał, którą zostawiasz. Do zobaczenia, spoczywaj w Bogu, roku stary...

V.

Z roku 1870.

Styczniowe słońce z za mgły porannej pierwszemi dopiero miryadami iskier posypało białe wierzchołki dachów

i drzew — rojno, gwarno było już w mieście, sanki dzwoniły, koła skrzypiały, każdy śpieszył, i tak dzwoniąc, skrzypiąc, tupiąc, bębniąc, świszcząc, trąbiąc, mrowisko ludzkie rozpoczynało ten jasny mroźny dzień nowy. W kościele ciemno, cicho i prawie pusto — przed wielkim ołtarzem migoce symboliczna wiecznie gorejąca lampa, z pobocznej kaplicy od czasu do czasu odzywa się ciszą przytłumiony poważny głos kapłana *Dominus Vobiscum,* a świeży i mimo woli i wiedzy głośny a wesoły jak śpiew skowronka, dziecka głos odpowiada: *Et cum Spiritu Tuo.* Kilku biednych klęczy tam — przy sobie złożyli ciężar, który barki dźwigały: pod krzyżem ten, pewnie stokroć cięższy, który serce przygniata. I więcej nic nie widać, nic nie słychać w Domu Pańskim. Ja także mój ciężar złości, słabości i nędzy złożyłam u nóg Pana — otrzymałam przebaczenie, czekałam na umocnienie, modliłam się długo i serdecznie, a teraz więcej może już myślałam, niż modliłam się — myślałam o łaskach, o dobrodziejstwach, o tylu błogosławieństwach zesłanych, o obietnicach moich niedotrzymanych, o karach zasłużonych a wstrzymanych, i już nie wiedziałam, czy myśl moja jest modlitwą, czy modlitwa pasmem wspomnień...

Nareszcie, słysząc przy sobie kroki, podniosłam głowę — dziadek kościelny zapalał świece przed Przenajświętszym Sakramentem do Komunii św., o którą prosiliśmy, zgasił swój stoczek, palcami knot przydusił, postawił w kącie za ołtarzem, potem przechodząc koło nas z ukłonem rzekł: „Zaraz będzie służyć!“ O ludzie, ludzie tak jest! zaraz będzie służyć!... Pan nieba i ziemi, wieków i wieczności, zaraz będzie służyć!... Wczoraj obrażony, dziś wezwany, zaraz będzie służyć! Przez lata zapomniany, dziś wspomniany, zaraz będzie służyć — ciągle odpychany, dziś potrzebny, zaraz będzie służyć — dziś Jedyny, jutro ostatni, zaraz będzie służyć, będzie służyć dniem i nocą, będzie służyć w cierpieniu siłą swą, w szczęściu spokojem, będzie służyć miłością swoją, będzie służyć nauką swą, będzie służyć światłem swojem, będzie służyć wszechmądrością miłosierdzia i milionami promieni łaski swojej...

. . . .

I przyszedł do mnie — dla mnie, Pan mój, i służył mi...

. . . .

I powróciłam w dzwoniący, huczący, skrzypiący mroźny świat — a miłosierdzie Twoje, Panie, niechaj sądzi, czy pragnę ja służyć Tobie, o Ty wiecznie służący nam Boże...

VI.

Rozmowa ze starym dębem w Krościenku 5 października 1881 r.

„Stary dębie, coś ty widział, gdyś byś młody? — powiedz?"

„Gdym był młody?... dawno to, dawno... i zaledwo już pomnę... dolatuje mnie czasem woń pierwszych kwiatów, które rozpoznałem, a z nią pierwszy zrozumiany promień słońca, i gwiazdy z nieba pierwsze ku mnie spojrzenie... pamiętam u stóp mych, w krzaku polnej róży, słowicze gniazdo, a po nademną skowronka śpiewny lot... pamiętam z szelestem liści moich ulatujące roje młodych złocistych marzeń... a na łące pustych śmiechów zdrowy szał... Wiem, że lubemi mi były dzieci pustota, młodzieży dzielność, uczonych wiara, starców spokój".

„A później, gdyś urósł, coś widział dębie — powiedz jeszcze?"

„Gdym urósł trochę, zdawało mi się, że już widzę po nad góry i przepaści wszystko, co widzieć można, bo wichry młodą mą koroną miotały lub ptaszęta w niej świergotały; wtedy widziałem burzy ciemność tajemniczą, piorunami ciskającą w to, co szczytne i śmiałe — lata skwarny upał, palący co piękne i słabe — zimy nielitościwy mróz, zabierający matkę dzieciom, rodzicom syna lub ubogim zdrowie... Słyszałem świata szał nieczysty, druzgocący prostoty święty skarb, a potem glupim swym śmiechem jej przekleństwu odpowiadający — patrzałem na dzieci fałsz wyuczony,

młodych niedowiarstwo, mędrców bluźnierstwa, starców rozpustę".

„A później... gdyś już nieba szczytem sięgał, coś widział? — powiedz, powiedz jeszcze stary dębie?"...

„Nieba nie sięgałem i nie sięgnę nigdy, ale swobodniej i częściej ku niemu spozierając, gdym urósł jeszcze i zmężniał trochę... toć i ziemię lepiej zrozumiałem. Wtedy, po wodach nawałnicy widziałem ją czystszą i zdrowszą, gdy słońce o zachodzie w spokoju żegnało to, co ręka Boża od powodzi ustrzegła, i własne me konary czułem burzą od martwych gałęzi uwolnione, a korzenie wzmocnione. Wtedy widziałem na zgliszczach krzyże się wznoszące, zmarłe dzieci rodzicom niebo zdobywające, waśń bratnią nieszczęściem zgładzoną, i młode życia Bogu poświęcone, i pokorze miłości światło rozumu poddane; wtedy słyszałem u stóp mych naukę Chrystusa maluczkim wykładaną, i Boże przebaczenie złoczyńcom udzielane, a patrzałem na wiernych Panu poczet niezliczony, z których każdy sztandar Jego niósł, ponad wszystkie skarby, jak i ponad wszystkie brudy ziemi, aż do ostatniego tchu piersi i ostatniego ócz w niebo spojrzenia!"...

„A teraz dębie... teraz, kiedy już próchno ziemi serca twego sięga i tylko zielenią korony tam wgórze żyjesz, czy widzisz co jeszcze? — powiedz?"

„Liście moje drżą i w wielkiem świetle nieba trudno mi już ziemię dobrze rozpoznać... Widzę tylko Mądrości Bożej miłosierdzia nieprzebrany skarb, a Miłosierdzia niezgłębioną Mądrość, która wszystko w niebie i na ziemi wedle liczby, miary i wagi dobrze czyni... Widzę tylko wkoło krzyża Golgoty krzyże, liczbą zaledwo równające się liczbie złotych cielców świata... widzę potoki Łaski, łzami niewinnych i krwią męczenników zalewające łożyska i bezdna potokami grzechu wyrwane... widzę czystych ofiar krocie, wiecznie przeczystą Ofiarą Hostyi przeważające szalą zbawienia, przepełnioną szalę potępienia... I drżą liście moje tętnem wieczności, ale bez lęku w sercu; dzieło ziemi, runę na ziemię, i rad dam z drzewa mego Krzyż wyciosać, i rad koroną moją w prochu Panu się ukorzę, byle ponad krzyżem

i ponad koroną coraz rozgłośniej, coraz wyraźniej brzmiał odwieczny chór:

„Święty, Święty, Święty Pan Bóg Zastępów, pełne są niebiosa i ziemia chwały Jego“.

Dnia 4 stycznia 1882 r.

VII.

Co mi się marzyło ostatniej nocy spędzonej w willi Leis, w Gries, 1901 r.

Śniło mi się, że szłam drogą, a szłam już od bardzo dawna, bo całe szmaty ziemi i lat za mną leżały, a po obu stronach drogi, jak kamienie milowe, szeregi grobów się bieliły.

Byłam zmęczoną bardzo, a na drodze pod górę ciągnącą się, daleko, daleko jeszcze, widniał dopiero dom, gdzie spocząć miałam.

Śniłam — i we śnie tym dziwną się widziałam — pod białemi włosami krocie myśli o tęczowo złocistych barwach roiły się, a w sercu znużonem kwiat po kwiecie jednak zakwitał...

I stanęłam wreszcie przed domem, który moim być miał przez jakiś czas.

Niskie drzwi otworzyłam, wąskie, kręte schody wiodły mnie na piąterko, a tam, od progu ujrzałam przed sobą izbę dużą, niską, ciemną i smutną... Małe okna bez światła jakby oczy bez życia — między niemi szklanne drzwi na ganek otwarte, po obu stronach izby większej, dwie mniejsze...

Serce mi się ścisnęło, jakbym do więzienia wchodziła, i łzy do ócz podeszły...

Po chwili, gdym wolno obchodziła tę moją klatkę, nagle, przez rozwarte szklanne drzwi, szeroki, jasny promień słońca padł, i jak przypływ brylantowej fali, zwolna do nóg

mych dopłynął... i gdym weń patrzała, rzecz dziwna się stała... Promień ów, jak ręką chorążego wzniesiony i zwinięty sztandar, tak się zakołysał, w świetlane fałdy ułożył, a z nich wykwitła postać, powiewna i jasna jak on, wesele niosąca jak on, promieńmi siejąca jak on. I postać ta z promienia zrodzona ręką skinęła... i już nie było małych szybek u okien, a nawet okna całe znikły, a natomiast, jakby wprost z nieba miliony motyli, lotnych jako słowa mowy ludzkiej, poczęły wlatywać do ciemnej mojej izby... Rój po roju wlatywał, a motyl każdy niósł kwiat inny na swych skrzydłach... Czarodziejka od motyli kwiaty odbierała, w snopy składała i rzucała przed siebie, strojąc niemi gołe ściany, niskie drzwi i okna, które pierwej były jako oczy bez życia... i jak kwiaty, tak ciche słowa przed siebie rzucała, do mnie się nie zwracając, lecz rozumiałam, że dla mnie były te słowa.

„Oto konwalii dzwonki... łzy ludzkie... tyś otrzeć ich nie mogła, ale swoje z niemi złączyłaś, a one cichością swą, ciebie zbudowały, zatem dzieło miłości dokonane“... i rzucała piórka konwalii, a one do ścian same przylegały...

„A to róże, przyniesione ci, byś stare oczy niemi ucieszyła — a tyś za nie wdzięczną jakby za klejnoty była... zatem... dzieło miłości dokonane“. I snopy róż za konwalią leciały, przylegały, stroiły to, co było stare i smutne...

„A to gwoździki... dobra wola serc ludzkich, którą darzyli ciebie i twoich... a tyś im za to modlitwę swą dała... i dzieło miłości znów dokonane“...

Szła dalej czarodziejka, a za nią nowe, ciągle nowe roje motyli, a każdy z innym kwiatem na skrzydłach... a ona kwiaty brała i rzucała tak, że już nie było kącika w pustych izdebkach, ani na gołych ścianach, gdzieby kwiat nie jaśniał, a na kwieciu rosą Łaska Boża się nie iskrzyła...

„Ktoś Ty promieniu?! Czarodziejko, ktoś ty?!“ — zawołałam i ręce do jasnej powiewnej postaci wyciągnęłam... a ona znów w promieniu stała i długa jej szata, falująca jak sztandar ręką chorążego zwijany, w świetlane fałdy się skła

dała i w słońcu powoli ginąć zaczynała... „Ja?! Jam miłość ludzka, miłość ludzi dobrych, prostych, mądrych“...

. . . .

I promień słońca, jak odpływ brylantowej fali, cicho od nóg mych się usuwał...

Insbruck 8 maja 1901 r.

VIII.

Państwo Bońscy.

1892.

Schodził wężem z gór ku Zakopanemu pogrzeb. Po zamarzniętej ziemi dudniąc, toczył się duży wóz góralski. Nie było na nim zwykłej płóciennej budy, ani w nim zawieszonych siedzeń: na samem dnie stała trumna...

Jeden koń duży, drugi mały, dzwoniły mosiężnemi kółkami uprzęży; za wozem szło kilku górali; dalej kobiety chórem śpiewające pieśń o nucie na wpół smętnej, na wpół skocznej, bo wpadającej rytmicznie w takt szybkiego, lotnego ich chodu. Wszystko razem, barwne i śpiewne, migocące pomiędzy drzewami, robiło wrażenie czegoś raczej wesołego, niż smutnego; a odgłos pieśni, jakby srebrnych dzwonków, raz ciszej, raz głośniej dolatujący, wedle zakrętów wijącej się po lesie drogi, porywał duszę jak sam — leciał... wysoko ponad góry, z których złotą lawiną promienie słoneczne staczały się w dolinę zakopańską. Dopiero gdy oczy padły na chłopię drepcące przy jednym ze starszych górali, rozumiało się, że i to pogrzeb, i to ból... sieroctwo... rozłąka... i to jeden z tych niewymownych jęków, któremi ziemia ciągle jęczy, jak kobieta rodząca.

Chłopczyna mógł mieć ośm lat; był czysto umyty, głowina ostrzyżona krótko; niedzielna biała cucha, o zielonem wyszyciu, takie same „portecki“, krypcie nowe, kapelusik z muszelkami, aż do koszulki porządnie spiętej na spinkę

pod szyją — wszystko świadczyło, że o dziecku dotąd ktoś miłośnie bardzo myślał. Drepcił szybko, bo na jeden krok górala zaledwo trzema wystarczył; łez już nie było na okrągłej, przybladłej twarzyczce, ale nad ciemnemi oczyma brewki były kurczowo ściągnięte, a dziecięce piersi podnosiły się łkaniem raz po razie i łkaniem chwytały powietrze.

Wreszcie na skręcie drogi ucichło i łkanie. Pochód zwolnił kroku, bo naprzeciw niemu wychodził z kościoła ksiądz w kapie: nieśli chorągwie, i przeciągły ponury śpiew kościelny, zastąpił śpiew góralek. Wielkiemi, zmęczonemi oczyma patrzało chłopię i serce mu się tłukło w piersiach, jak dziki ptak w klatce. Co się teraz stanie? Co zrobią z trumną? Może ją otworzą... i — matkę zobaczy. Co będą robić ci, co z nim idą? Co tamci? Po co te chorągwie? Co ksiądz będzie robić? Może on go się spyta: czy zawsze, zawsze, zawsze matki słuchał?

Gdy tak myślał — i w uszach mu szumiało sam nie wiedział co — usłyszał nad głową głośny szept. Była to jakaś pani, która przyłączywszy się do ludzi idących za wozem, wypytywała stryjka kto umarł... czyj pogrzeb i czyje to dziecko. Jakie śliczne!"... dodała i chciała je pogłaskać. Chłopię spojrzało dziko, wprost w oczy, jak byłoby też wprost chętnie kamieniem rzuciło, gdyby w ręku go było miało— tej, która śmiała pytać, jak o drogę, o matkę jego... o niego sierotę, teraz!... teraz!... gdy trumnę tę brać będą, gdy byłby się chciał jej czepić, jak spodnicy matczynej, i krzyczeć, jak krzyczał, gdy z łóżka ją brali. Szarpnął rękę górala, by iść prędzej... I prędzej i dalej biegły nóżki i prędzej i silniej biło serce... i pogrzeb dalej szedł i dzwony biły, i nad głowami chorągwie w powietrzu statecznie falowały.

. . . .

Chłopiec nazywał się Jaś Szyszka — ta, którą rano pochowali, była jego matką. Ojca od dawna nie miał. Teraz wracał ze stryjkiem znów przez las ku domowi. Nożęta, i piersi, i oczy bolały... nie dojdzie się do domu, aż o zmroku. A! byle dojść... i dostać co zjeść... i spać; zbyć się jakoś tego, co dusi!... Żeby już był koniec dniowi!...

To też skoro weszli do izby ciepłej i od ognia pod kuchnią rozpalonego jasnej, podczas gdy na dworze z cieniem grudniowej nocy drobny śnieg prószył, zaledwo gazdowie z fajkami na ławach pozasiadali, Jaś legł też jak psiątko przy stryjku i oczy mu się zlepiły... ale prędzej jeszcze rozwarły — a szeroko! gdy usłyszał jednego z górali mówiącego do stryjka: „Ta pani, coć to was pytała — znacie? cyj pogzeb — to tok straśnie spodobała sobie chłopoka, ze jak my juz wracali, zawołała mnie tamok do siebie — bo zna mniezem raz jeździł na Poronin — i tok pytała, tok pytała! jakby ci cosik kciała, cy wziąść chłopoka, cy cosik — bo znacie, strasnie jej się spodobał!... Az pon odezwoł się po francuzku i wtencos ona zapisała sobie jak się Jasiek nazywo, i gdzie matka mieskała, i gdzie wy Jędrku... i gzecnie poczęstowała winem, a pon cygarem — azem sobie myślał ze pewno cosik kcą Jaśkowi cy dać, cy jak... e! boć to feine państwo, bogoci, a ino ik dwoje!... Dobze by ta było, zeby chłopoka wzieli... i Ślimak tak mówił“.

Nie spał, nie spał już chłopiec!... znów tłukło mu się lękiem serce... a czemu? Zanim przecież jeszcze matkę z izby wynieśli, słyszał, jak stryjko swojej gaździnie mówił, że trzeba będzie go dać do siostry, na Czarny Dunajec do bydła, i tego się nie bał; a teraz już mu się i jeść nie chciało i zdawało mu się, że już spać nigdy nie będzie, żeby go „ta poni“ we śnie nie zabrała. A przecież na nowo oczy się sklejały i spał już... gdy stryjko wstał po węgiel do fajki, a wracając na ławę, dalej prowadził rozmowę z kumem:

— Et! co by ta dzwoniło!

— A ze dzwoni! — odparł tamten. — Jesce memu dziadkowi jego dziadek opowiadał, ze zawse na wielgie święto w same południe dzwoni!... Ta! Pan Bóg wsystko moze!

Chłopięciu dzwoniły jeszcze, zda się w duszy całej — ranne dzwony, więc z nowym lękiem, czy już zawsze teraz tak wszystkiego trzeba się będzie bać?... tuląc się bliżej stryjka, cicho pytał:

— Co dzwoni? gdzie?

— Et! co ty tam smarkulu zrozumies! kum mówi, co na Giewoncie cośby ta dzwonić miało w święto.

— A co? stryjku! co? co?

— A, Bóg ta wie! to tak stazy ludzie gadają, ze kane święto dzwoni hań w górze, jak i w kościele.

II.

Państwo Antoniowie Bońscy byli to ludzie bardzo zamożni i szanowani. Znani byli z akuratności swej i chętnie o tem bliźniego uwiadamiali. Ognia piekielnego mniej się bali, niż zapomnieć o cencie, który się winno. Gdy mogli komu ustąpić rzeczy, o którą nie dbali, lubili to uczynić — woleli nawet, co prawda, niż gdy im cośkolwiek wyświadczono, bo z tem „zawsze kłopot pamiętać o jakichś tam wdzięcznościach!"

Służbę płacili dobrze, utrzymywali doskonale; nie znosili wprawdzie najmniejszego zapomnienia, ani szkody nie darowali, ale za to dawali bilety do teatru i cyrku, powtarzając z zadowoleniem: *Man muss leben und leben lassen!*

Gdy się przed 20 tu laty pobrali, posiadali wioskę ładną, ale dochody szczuple: siedzieli przeto w domu i gospodarowali. Dzieci nie mieli nigdy i nie boleli nad tem wcale — bo i tak zawsze dosyć kłopotu, gdy człowiek jako tako wygodnie chce sobie życie urządzić.

W tych kłopotach znakomicie a niespodzianie pomógł im znaczny spadek w kapitałach, który otrzymali, i wtedy można już było trochę o sobie pomyśleć... Wieś wydzierżawili — z papierami znów był kłopot; zatem powierzyli je bankowi, trud sprzedawania kuponów agentowi, a sami poczęli rozmyślać nad tem, jak najlepiej użyć pieniędzy i — wczasu.

Wynajęli sobie najpierw roczne mieszkanie we Lwowie, przy ogrodzie miejskim, aby dwa razy tygodniowo muzyka wojskowa im przygrywała. Z częstych podróży za granicę przywozili sobie meble, klejnoty; na wystawach kupowali wszystkie najnowsze systemy sprężynowych materaców, lamp, maszynek do kawy, a jak się trafił wesoły jaki a nie drogi

obraz, to i obraz kupowali. Wreszcie zostali szczęśliwymi posiadaczami miniaturowej willi „Röschen“ w Hietzing'u pod Wiedniem i jednymi z najpoważniej witanych gości hotelu „Metropole“ na Ring'u.

Nikt się nie mógł dziwić i nie dziwił, że ludzie majętni, a bezdzietni, niczego sobie nie odmawiają; a to tem mniej, że ostatecznie ich używanie wcale szerokich, ani nadzwyczajnych granic nie sięgało: nigdy nie zapomnieli zawczasu o cenę każdej rzeczy się umówić, ani się kiedykolwiek wstydzili o nią wytargować, lub obstalunku uczynionego nie przyjąć.

W filozofie żadne się nie wdawali i dumni z tego byli, ramionami ruszając na wszystko, co umysły ludzkie niepokoi. O Bogu mieli poważne, choć trochę mgliste przekonanie, że pewne względy Mu się jednak należą, i te, które za potrzebne uważali, chcieli — choć nie bez trudu! — zachować; urządzili je sobie przeto w pewne formy, aby dać co się należy, a bez żadnych egzaltacyj. Choć nieraz trudno było o kościół, w zimie ciepły, a w lecie chłodny, i o księdza, któryby niezadługo odprawiał Mszę, jednak prawie co niedziela bywali na ostatniej. Pościli w Wigilię i w Wielki Piątek — choć Bóg jeden wiedział z jaką przykrością! — ale czynili to dla przykładu.

Wyobrażenie dobra w ich pojęciu zasadzało się na tem, aby być zdrowym, i w spokoju używać na tem o co umiano się rozumnie postarać. Zło zaś, było to coś, co przeważnie siedzi w kryminale; ale trafia się też między aktorami, i znów w tych brudnych, zadusznych zakątkach po miastach, jak Paryż i Londyn, coś jak cholera, dżuma; ale o tem nie było co myśleć, bo między porządnymi ludźmi tego się nie spotyka, a od nieporządnych, z małemi ostrożnościami, jak od cholery też — przecież zawsze ustrzedz się można.

Nie szukali oni w chmurach jakiegoś szczęścia nadzwyczajnego, którego nie ma, co ściśle określali: „Bo choćby jak wszystko obmyśleć, coś się zawsze na tym świecie popsuje!“ Ale dążyli i doszli do tego, aby sobie urządzić życie, jak urządzili apartament: dostatnio i wygodnie, i potem jak z balkonu patrzeć chcieli spokojnie na świat i ludzi,

idących, pędzących, pracujących, kłopoczących się... Usterkami, które dojrzeli, bawili się niesłychanie i wszechstronnie wyśmiewali. Upadki i nierozsądek wszelki sądzili surowo i bezwzględnie potępiali.

Ale żeby się mieli wmięszać kiedy w ten biedny tłum ludzki, nieraz brudny, spocony, obdarty, nieraz też łomoczący się z trudnościami i ciężarami, żeby mieli słuchać tych wiecznych narzekań i opowiadań o chorobach, smutkach i śmierciach — to nigdy!... Państwo Bońscy rozumieli, że usposobienie dobre, to grunt, jak żołądek! „Każdy ma dosyć swej własnej biedy — powtarzali — nie trzeba psuć swobody myśli biedami, które właściwie nas nie obchodzą, prawda? i na które nic poradzić nie możemy“.

I tak państwo Antoniowie Bońscy, ludzie zamożni i szanowani, żyjąc sobie dostatnio i spokojnie, ani się pomiarkowali, jak ułatwiając sobie egzystencyą, pomału i nieznacznie wyrzucili z niej wszystko, co do obowiązku było podobne, a zatem ani się też pomiarkowali, jak szczęśliwie poszło, bez żadnego psucia sobie daremnie krwi, że po trochu starzy, nudni krewni, coraz rzadziej się naprzykrzali, że te nieznośne jeremiady ucichły, że te głupie życzenia i powinszowania świąt, imienin i t. d., obowiązujące, aby nawzajem pamiętać o tem, jak komu na imię, i czy się żeni, czy umarł — wszystko to coraz mniej padało w ich progi, jak groty ustępującego nieprzyjaciela. Nawet raz, śmiejąc się do łez, pan Boński zauważył, że: „Słowo daję!... nabrali rozumu! do żadnej składki od roku nie wezwali“!

Czasami zdarzało się jednak, że pani Bońskiej w całym tym spokoju i wygodzie było jakoś „nie swojo!“ Wtedy lekarz zaręczał, że tylko nerwy podrażnione: wysyłał do jakiejś modnej klimatycznej stacyi, i znów było dobrze. Czasami pan Boński tracił apetyt i cygareta po kawie mu nie smakowała: wtedy lekarz stanowczo nakazywał trzechtygodniową kuracyę w Marienbadzie, i znów było dobrze.

Ostatecznie jednak potrzeba podobnych kuracyj coraz częściej występowała: nie żeby, broń Boże! na czemkolwiek im zbywało — nie! ale tylko, że nie mogąc sobie wytłómaczyć, co im właściwie nie do smaku w tem tak wybornie

przyprawionem życiu, szukali oczywiście powodu fizycznego i aby go znaleść, radzili się specyalistów i kuracye specyalne próbowali.

Owoż więc w r. 1870 byli na wiosnę w Karlsbadzie, potem w sierpniu u morza, we wrześniu na winogronowej kuracyi w Hietzing, i mieli wracać do Lwowa, gdy lekarz przestrzegł, że jednak lepiej od tego się jeszcze wstrzymać, albowiem w Czerniowcach skonstatowano dwa wypadki cholery. Zatem radzi październik, listopad i grudzień spędzić w Zakopanem, którego orzeźwiające powietrze świetnie działać powinno tak na podniecenie nerwów żołądkowych pana Bońskiego, jak na uspokojenie nerwowych przypadłości u pani Bońskiej.

I tak się stało, że ta ostatnia ujrzała drepcącego przy stryjku, za pogrzebem matki i — „straśnie spodobała sobie“ — Jasia Szyszkę.

W on wieczór, gdy chłopięciu jak senne mary przelatywały przez serce sieroce lęki, państwo Bońscy przy stojących na stole filiżankach z nalaną herbatą rozmawiali żywiej, niż zazwyczaj.

Pan Boński trzymał wprawdzie w ręku *Neue Freie Presse,* ale dziś — co się nie trafiało — żona mu przerywała czytanie. To też trochę nerwowo kilka razy już powtórzył: „Zrobisz, jak zechcesz, ale wszak dziś nie zdecydujemy nic... po cóż się denerwować“.

Pani Bońska zaś też trochę nerwowo i z żywszym niż zwykle rumieńcem na twarzy, również już kilka razy odpowiedziała: „Ja się nie denerwuję! ale nie rozumiem, co przeciwko temu mieć możesz?“ I zamiast pić herbatę, o której zapomniała, niemiłosiernie raz po razie skręcała głowę Chińczykowi bronzowemu i znów ją na wprost zakładała.

Za ostatnią podobną odpowiedzią żony pan Boński odłożył gazetę, począł mięszać łyżeczką herbatę z pewnem zacięciem niezwykłem i odrzekł: „To, że weźmiesz kłopot na siebie, którego donioslości nie rozumiesz, a potem ani wycofać, ani nawet wykupić się nie będzie można“.

— Ciekawam co za kłopot!?... Że dziecku się da łóżeczko i wikt, i że z czasem będzie z niego porządny słu-

żący — i tak Wincenty coraz nieznośniejszy z tą spuchniętą żoną i dzieciskami...

— Nieznośniejsze będzie dziecko samo, zanim wyrośnie na lokaja. I zdrowe nieznośne będzie w domu... a cóż dopiero, gdy mu się zaczną te wszystkie choroby dziecinne... te jakieś robaki, a ząbki! no! — te może musi i już mieć — zreflektował się pan Boński, i chwilę nad wątpliwym faktem się zastanowił — lecz potem z coraz to wzmagającą się energią ciągnął dalej: „Ale te odry, szkarlatyny, anginy, niech Bóg broni!... będą znów awantury, jak wtedy, gdy Mysia miała szczenięta i od obiadu ciągle do niej wstawałaś... Z psem kłopot... a cóżby dopiero było z dzieckiem?! Ja ręce umywam z tej sprawy!"...

I dalej — i dalej państwo Bońscy po małżeńsku radzili i oponowali sobie, nierównemi siłami tym razem: bo u niej rzeczywiście poczciwe, choć długo milczące serce odezwało się — może tylko chęcią poratowania tego ślicznego dziecka, ale może też po raz pierwszy odczutą potrzebą kochania po macierzyńsku — u niego zaś trwoga przed kłopotem o tyle nie dostarczała mu silnej broni, o ile czuł, że ów kłopot jemu osobiście mało zagraża i że — jak w on pamiętny dzień, gdy szczenięta Mysi zamąciły domowy spokój — on swój ratował spędzając wieczór w kasynie, tak i w najgorszym razie on sobie jakoś da radę, kto wie? może i łatwiej, gdy żona będzie mieć w domu czem się bawić!...

Dnia trzeciego w południe, saneczkami jechała pani Bońska przez Jaszczurówkę, dalej w górę, do chaty, w której mieszkał stryj Jaśka.

Chłopak był już oddany do jego siostry aż za Czarnym Dunajcem. Nastąpiły rokowania niezbyt długo trwające, bo już na trzeci dzień, w niedzielę po południu w kuchni państwa Bońskich zjawił się góral, a przy nim chłopczyna.

Bledszy był jeszcze trochę, niż na pogrzebie, ale tem piękniejszy. Poważnie i śmiało w świat patrzyły ciemne oczy, ale patrzyły, jak sieroty oczy patrzą, jakby się niczego dobrego nie spodziewały. Pani Bońska była bardzo nerwową, pan Boński bierny, ale co chwila krząkał, co było zawsze symptomem wewnętrznej rozterki: góral przeczuwając jakoś,

że z tej strony się chmurzy, choć pilno mu było odejść, „bo mi coś gaździna trochę słaba“ — zapewniał, jednak i powtarzał: „Zeby moi państwo głowa was tez nie zabolała o to, ze kłopot mieć będziecie z chłopokiem... popłace ta moze trochę, bo to, pseprasam piknie, głupie jesce jak ciele, ale będzie z niego chłopak honorny, obacycie sami, bo z dobrego gniazda — no i pseprasam piknie, zem się moze źle wyraził, a mnie juz tez cas iść“ — i wysunął się z kuchni.

Zaczęła się sądna godzina!... Chłopiec chciał iść za stryjkiem: krzyczał, ryczał, nogami tupał, paznogcie sobie łamał chcąc drzwi przemocą otworzyć — podawane przez panią Bońską pierniki, machając rękami, odrzucał; Mysia wściekle szczekała, chwytając chłopca za łydki. Pani Bońskiej się już na płacz zbierało, nie wiedząc co począć z dzieckiem. Pan Boński się wyniósł... Aż wreszcie ku wybawieniu wszystkich, przyszła góralka usługująca zwykle przy kuchni; ta dopiero Mysi dała kość, chłopca wzięła na kolana, usiadła z nim w podwórku i zaczęła opowiadać o śpiących żołnierzach w Babiej górze. Wtedy krzyk ucichł... potem potrochu i łkanie ustało... i piernik się zjadło. I w ten sposób górska krzewina z kamienistego swego gruntu przesadzoną została w ciężką i tłustą ziemię dobrobytu.

III.

Miał pan Boński słuszność: okazało się, że stanowczo miał słuszność. Jaś mógł się stać znaczącym impedymentem w sprawie domowego spokoju...

Póki byli w Zakopanem, szło jeszcze jako tako: chłopiec trzymał się góralki i słychać go prawie w domu nie było, chyba, że zatupotały pod oknem nóżki jego w kierpciach, gdy po wodę biegł. Miłe to nie było, a znów Mysię do tak wściekłego gniewu pobudzało, że i zabawne bywało — więc jeszcze mniejsza z tem!

Ale o wiele, wiele groźniej, niż mógł to pan Boński przewidzieć i przeczuć, zarysowała się sytuacya, gdy przy-

szło do wprowadzenia w życie państwa Bońskich we Lwowie tej małej milczącej osóbki... Dlaczego? Ach, dlaczego!... bo już tak Pan Bóg chciał i rozporządził, aby na tej naszej ziemi serca ludzkie wczas i nie wczas smutkiem więcej niż radością zaczepiały się jedne o drugie i owijały o siebie, jak dzikiego wina pędy... Już tak Pan Bóg chciał, że miłością te biedne serca ludzkie mają cierpieć i uświęcać się, choćby jak wolą własną — miłości ze siebie wydać wzbraniały się...

Początkowo, choć pani Bońska, widząc, że Jaś od wyjazdu z Zakopanego zmienił się, bo tęskniło chłopię, samo nie wiedziało za czem, ale tęskniło szalenie... owoż, choć pani Bońska widząc to, nieraz od stołu wstawała, aby mu zanieść leguminy, i choć zabawki mu kupowała. Jednak Pan Boński tem się nie niepokoił, sądził, że to jest faza uczuciowa, podobna do wszystkich, które przy Mysi i jej szczeniętach już kilka razy domowy spokój jego zamącały.

Ale po kilku tygodniach nic na lepsze się nie zmieniało. Jaś zamiast o tęsknocie zapomnieć i używać na doskonałem wyżywieniu, zamiast być coraz rumieńszym, a przy ożywieniu miastowem weselszym, był coraz mizerniejszym, a nigdy wesołym... Gdy wołano go do salonu i pozwalano fotografie oglądać, zaledwo kilka bezmyślnie przerzucił i już się pokładał na krzesło — temi ogromnemi swemi oczyma wodząc za przechodzącymi.

Pan Boński miarkował jednak, że żona jakoś inaczej to bierze, niż brała słabości Mysi; w skutek tego najpierw konstatował kilka razy dziennie, iż „wiedział, że tak będzie!“ — później z większym naciskiem robił uwagę, że „trudno o spokój, jeśli ludzie sami sobie kupują niepokój“.

No! I wreszcie Jaś na piękne się rozchorował... i w domu nastał nieład, niepokój, który równał się trzęsieniu ziemi w pojęciu pana Bońskiego. Żadne nerwy nie byłyby wytrzymały z jednej strony, pewnie że niemiłego widoku tego gorączkującego malca, który wołał matki i nucił piosnki góralskie — ale z drugiej znów strony tego wyglądania lekarza, tego przestrachu, gdy wśród samego obiadu zawołali, że chłopiec mdleje, tego widoku pani Bońskiej o 11-ej w nocy

nie myślącej jeszcze o spaniu — nie! tego wszystkiego żadne nerwy nie byłyby zniosły!... Pan Boński w niebywały sposób się zdenerwował.

Przyszła chwila, gdy zupełnie nie mógł wysiedzieć w kasynie; przyszła chwila, że wszedłszy do swojego pokoju, aby się położyć spać — i to o niesłychanej godzinie — zrzucił ze siebie surdut z wiele znaczącym, choć krótkim i cichym monologiem: „Dyabli nadali!... Z temi babskiemi romansami oszaleć przyjdzie!“ — co powiedziawszy, zamiast się rozebrać, wziął tylko szlafrok, pantofle na nogi i czapkę na głowę — no!... i poszedł do Jasia... w malignie zrywającego się — bo to zawsze żony z egzaltacyami swojemi człowiekowi rozum odbierają!...

Jeśli pani Bońska tak fatalnie na męża wpływała, to chyba bezwiednie. Nigdy bowiem w życiu nie była tak małomowną, tak cicho poruszającą się, tak łagodną: siedziała przy łóżku Jasia, które kazała jednak postawić w pokoju obok swego, bo większy był, niż pokoik przy kredensie, gdzie pierwotnie chłopię mieszkać miało... Siedziała przy łóżku, obkłady zimne na głowie rozpalonej chłopięcia zmieniała i lekarstwo podawała dziecku...

Nie! pani Bońska nic temu winną nie była, że mężowi się chciało po nocy chodzić w szlafroku i pantoflach i wyglądać przez okno, nie miarkując, że story spuszczone... Pani Bońska temu winną nie była, ale pan Boński miał słuszność, oj, miał!... z psem kłopot, a cóż dopiero z dzieckiem!...

. . . .

Oczywiście, że gdy po czterech tygodniach takiego zdenerwowania Jaś pewnego dnia się uśmiechnął, potem, gdy zaczął się dopytywać co będzie na obiad, potem obiad ten z talerzy coraz szybciej i dokładniej zmiatać, potem, gdy poprosił, żeby mu Mysię na łóżko dali, oczywiście, że u pana Bońskiego dziwna w nerwach nastąpiła reakcya; najzupełniej zapomniał, że w on dzień, gdy to przy obiedzie dali znać, że Jaś zemdlał, wracając do skrzepłej potrawki poprzysiągł sobie, że co zechcą zapłaci góralowi, byle zabrał sobie smarkacza... Najzupełniej zapomniał, że o 1-ej dopiero

obiad i gdy wychodził na spacer o 11-ej, już o 12-ej był w domu z pomarańczami w kieszeni i z książką z obrazkami pod pachą.

Również wszyscy, nawet Wincenty, zapomnieli, że kiedykolwiek była mowa o tem, aby Jaś był do służby... Zapomnieli państwo Bońscy, że kłopot z dzieckiem... i w chorobie sierota przerodził się im na syna...

Poczciwi biedni państwo Bońscy!...

I znowu nie pomiarkowali się, jak to ich wypieszczone, wycackane w spokoju życie Jaś Szyszka zagarnął chudemi rączętami swemi, razem z pomarańczami i zabawkami, jak odtąd, aby dogodzić sobie — musieli jemu dogadzać.

Minął tydzień... Jaś zaczął wstawać, był wyrósł o pół głowy i zaledwo mógł przejść z łóżka na sofkę. Strój góralski był krótki i szorstkie, grube sukno ocierało wydelikaconą chudą szyjkę i raziło białe miękkie ręce...

Minął znów tydzień... Jasiowi oczy się śmiały i rumieniec uszów dosięgał, gdy prowadzony przez pana Bońskiego stanął przed tą, którą nie wiedzieć kiedy i jak począł zwać „mamą“. Ubrany w bluzę ściśniętą szerokim skórzanym pasem, w długie angielskie pończochy i sznurowane wysokie buciki, a na wykładany kołnierz koszuli jego góralskie kędziorki spadały, jak gdyby całe życie były uczone tak spadać...

. . . .

Temu stanowczo był winien pan Boński, bo pani Bońskiej coś podobnego nawet w myśli nie powstało!... Ale co prawda, ten chłopiec!... i królewiątko piękniejby nie wyglądało, ani swobodniej nie stąpało po ziemi królestwa swego, niż to paniątko z góralskim toporkiem w ręku, bo bez tego się nigdy nie ruszył.

Przez lato całe był raj w domu państwa Bońskich, dla nich i dla Jasia. W maju wzięli go z sobą do Hietzing, później nad Ren i do morza. Rozkoszowali się każdem jego zdumieniem, radością; fasynował ich pięknością swą, urokiem dziecka dotąd im nieznanym; a że chłopak był rzeczywiście, jak stryj jego zaręczał, „honorny“ i dziwnie sprytny,

kiedy wcale nieźle wyuczył się już czytać za pomocą afiszów, obrazków i Wincentego, a że przytem nietylko był wesoły i szczebiocący, ale i pamiętny tego, co mu się raz powiedziało... lub — co sam zmiarkował być upodobaniem otaczających go — przeto owijał się i owijał z każdym dniem silniej i szerzej w koło serc przybranych rodziców, a im niebożętom, wedle tego, co rozumieli być szczęściem dla niego, nic zbytecznem też się nie wydawało!...

I znów niczego sobie w Jasiu nie żałowali, z dnia na dzień, z przyjemności w przyjemność prowadząc dziecko, jakby nie było człowiekiem, na ziemi trudu i walki zrodzonym.

Zawsze państwo Bońscy byli dobrem małżeństwem; lecz od choroby Jasia i wspólnej o niego troski, stali się małżeństwem doskonałem — na tej małej i niskiej stopie, którą w życiu sobie obrali, w tych ciasnych granicach, w których jeszcze żaden krzyż, ani obowiązek prawdą nie zaświecił — ale byli małżeństwem doskonałem. Dawniej rozumieli się w małych samolubstwach, legitymujących się żartem, w wygódkach rafinujących się — teraz rozumieli się w tem pragnieniu, które myśli i uczucia im bez wiedzy ich prawie jak powodzią zalało: „Żeby Jaś był szczęśliwy!“... To też lato po chorobie jego spędzili jak w raju, on — i z nim państwo Bońscy.

Czasami podczas spaceru usiadłszy, mawiali sobie, patrząc na chłopca uganiającego z obręczą: „Żeśmy też mogli myśleć, iż on może nam być kłopotem! Mówią, że wychowanie, to rzecz tak trudna: co ma być za trudność?... Ja nie widzę!“ — mówiła pani Bońska, poprawiając pelerynkę.

— Wcale żadna! — odpowiadał pan Boński, laską kamyczki bijąc, a patrząc na chłopca. I chłopiec, rumiany, śmiejący, przylatywał, błyszczał oczyma i zębami, które miał już! pan Boński teraz wiedział. — Wołał: „Chodźmy dalej“, I dalej szli państwo Bońscy, tam, gdzie chłopię chciało.

. . . .

Z jesienią wrócono do Lwowa — „bo o naukach trzeba pomyśleć“ — mawiali teraz państwo Bońscy z powagą dzieci

bawiących się wychowaniem lalek. O posyłaniu chłopca do szkoły — „Bóg nie wie z jakimi chłopczyskami“ — pani Bońska wcale słyszeć nie chciała; więc szukano nauczyciela, ale w tem wszystkiem o nauczycielu Najwyższym i mowy nie było!... Gdy Jaś został im oddany, co wieczór i rano, jak matka go była nauczyła, klękał przy łóżku i poważnie, z oczyma spuszczonemi, rękoma złożonemi odmawiał prosty swój pacierz. Prawda, że w tej prostocie można było go malować, Correggio byłby go wziął na wzór Cheruba.

O Correggiu i Cherubach pani Bońska nie wiele wiedziała; jednak zobaczywszy go po raz pierwszy modlącego się, poczciwe łzy w oczach jej stanęły. Na nieszczęście, nazajutrz opowiadała o tem przy herbacie dwom paniom: „Ach, chodźmy zobaczyć! może się modli! *c'est si doux à voir!*“ I znów na nieszczęście... pani Bońska poszedłszy się przekonać, po chwili wywołała panie, prosząc tylko, aby szły cichutko: cichutko więc szeleściły panie jedwabnemi sukniami, jak to czasem w samą dobrą porę uczynić umieją — *Délicieux! ravissant!* — obie razem cichutko też wykrzyknęły... Chłopiec usłyszał, zrozumiał, że patrzeć na niego przyszły, i od tego dnia więcej do pacierza klękać nie chciał...

Niby się gniewając, a trochę się śmiejąc, namawiała pani Bońska, ale nie było rady!... Jaś pacierza mówić nie chciał.

— A jakże tu się nie śmiać, proszę cię! — opowiadała mężowi pani Bońska — żeby też takie małe, a takie było ambitne!... myślał pewnie, że się z niego śmieją.

I odtąd chyba dusza biednej góralki w niebie za dziecko się modliła... bo jemu modlitwę, której go nauczyła, ludzie z rąk wyrzucii. A jednak tym ludziom małej wiary i ciasnego ducha, Pan miał pamiętać, że przyjęli za swoje jedno z maluczkich i że — co temuż uczynili, uczynili i Jemu, Panu nad pany, choć o Nim nie myśleli.

Miłością zbawił — miłością uświęca ludzi!

. . . .

Nauczyciel, którego przyjęli państwo Bońscy, był chłopcem ośmnastoletnim. Syn ubogich mieszczan utrzymywał się

z tego, co zarobił, dając lekcye i jeszcze nieraz zdołał matce w liście posłać „papierka“ i na święta do domu pojechać. Dla niego było to świetnym losem: stałe miejsce i pensya, przy wielu godzinach, które własnym naukom mógł poświęcić. Jaś nietylko chętnie, lecz z zapałem się uczył.

Państwo Bońscy czuli wprawdzie, że ich jakaś maszyna, od nich silniejsza, wciąga w swe koła; lecz działo się to znów samo z siebie... a Jaś był wesół, pan Janowski cichy i nie narzucający się. Zatem lekko, szybko poczęły biegnąć ostatnie lata, miesiące, tygodnie dzieciństwa, i lekko i szybko zbliżały się lata młodzieńcze dla Jasia Szyszki.

IV.

Prędko mijają bo te lata, które godzinami czas wydzwania... Zdawało się Bońskim, że zaledwo kilka miesięcy upłynęło od chwili, gdy kupowali książki i tablicę dla Jasia; a teraz już był wpisany do piątej klasy, uczył się dalej w domu, ale egzamina zdawał świetnie i nad wiek był rozwinięty i pojętny, przyznawali z nauczycielem profesorowie.

Państwo Bońscy cieszyli się, sami nieraz nie wiedząc, co wymyśleć za nagrodę za te egzamina, bo chłopiec tak wszystko już miał, co i za kilka lat powinno było mu być jeszcze radością — eskontowali państwo Bońscy radości jego, nie wiedząc o tem, że i te kupony na eskoncie tracą. Jakże tedy mogli przypuścić, że może chłopcu na czemkolwiek brakować? Jak mogli przypuścić, że za czemś tęskni?

A jednak tęsknił!... Za czem? Może mniej jeszcze byłby umiał powiedzieć, niż wtedy gdy go z Zakopanego wywieźli. Tęsknił tak, iż nieraz za ptakami byłby chciał daleko, daleko odlecieć, bo mu się zdawało, że mu powietrza tu brak... że do wieczora nie wytrzyma... że ucieknie.

Gdy był sam z przybranymi rodzicami, mówił dużo, czasem za dużo i niedorzecznie — ot! jak każde dziecko; ale wiedział, że pytać się o nic nie warto, bo go zawsze żar-

tami zbyli... Więc plótł, co mu ślina na język przyniosła, chichotał się; chodził czasem z nimi do teatru. W niedzielę na ostatnią Mszę, jak oni wtedy siedział w ławce i z książki się modlił. Lubił suknie z najlepszej materyi, buciki nowe, kapelusik świeży; lubił z niemi wstępować do cukierni; lubił dobry fotel i dobry obiad... Wszystko to przecież tak naturalne, że przypuścić nie mogli państwo Bońscy, aby pod tem — w Jasiu, było coś więcej, aby w nim miała się już kryć ta istota człowiekiem zwana, zdolna do wszystkiego dobrego i złego! Jak mogli państwo Bońscy przypuścić takie jakieś filozoficzne zagadnienia, oni, którzy — to wszyscy wiedzieli! w żadne filozofie nigdy się nie wdawali.

Lecz, gdyby byli zobaczyli Jasia podczas jednej z wycieczek za miasto, które robił z nauczycielem, z pewnością za powrotem do domu byliby po lekarza posłali, tak był innym od tego, jakim go znali.

Tam chłopiec nie chichotał się, jeśli się zaśmiał, to śmiech ten miał dźwięk zdrowszy, prawdziwszy, niż tamten.... Rozmowa nigdy nie ustawała, pytaniami Jasia w ruch puszczona staczała się zwykle na to: co „pan“ robił, gdy był dzieckiem“ („Pan“ znaczyło oczywiście: pan Janowski), jak chodził do szkoły ludowej, gdy na śniadanie matka mu dawała kawałek razowego chleba, którego bochenek zawsze przeżegnała, nim nadpoczęła, żeby długo trwał...

„Biedne moje matczysko!“ dodawał Pan i trochę milczał, a Jasiowi się koło serca jakoś mdło robiło. Opowiadał jak się już miał do stolarki brać, gdy otrzymał stypendyum, i jaką była radość i jak na początek dostał od matki trzy papierki, które dociągnęły do pierwszych lekcyj za obiad znalezionych... potem o gimnazyum, o kolegach: o tych, co umarli z biedy i o tych, którzy się wydostali z niej... o „słabych“, którym, gdy nie można było inaczej i w nocy pomagał, i o dobrych, którzy jemu poprawiali domowe zadania, i o tym jednym, który mu pomógł zostać uczciwym. Potem o Wigilii w domu, o chustce wełnianej, którą matczyskowi przywiózł, skoro dostał miejsce u państwa Bońskich, o bracie, którego odesłał do gimnazyum w Przemyślu... Nic tam nie było bohaterskiego w opowiadaniach „pana“, a prze-

cież wsłuchiwał się w nie jak w pieśń jaką Jaś, gdy tak we dwóch szli sobie krętemi ścieżkami przez łąki i lasy, gdzie słowiki śpiewały, lub gdy spoczywali w cieniu starej gruszy.

Przed kościołem lub krzyżem „pan" zdejmował kapelusz i Jaś zdejmował, a czasem, nie zawsze, lecz czasem czyniąc to, przypominał sobie, przypominał sobie ten krzyż, tam, gdzieś daleko w górach, przed którym matka mu zdejmowała kapelusinę z głowy, mówiąc: „A cóz to? nie pokłonis ty się Panu Jezusowi? cy nie wart moze tego?"... I za czemś takiem tęsknił chłopiec!... Jakże tego mogli się państwo Bońscy domyśleć?!...

Jak słuchał „pana" mówiącego o „matczysku" swojem, Jasiowi jakiś cień matki — tej, co mu kapelusz zdejmowała przed krzyżem — przed oczyma stawał i cichutko zasuwał się za postać tej, którą dziś matką zwał... i jakiś żal... jakiś wstyd, jakaś zazdrość go brała... że on „matczyskiem" by jej nazwać nie mógł, że on — jej nie kocha, jak „pan" swoje „matczysko" kocha...

Jak wracał do domu rumiany i jakby starszy, dojrzalszy, pani Bońska głaskała kochane włosy, brała drogie chłopię w ramiona i z jakimś takim strachem pytała: „Ale ty kochasz mamę? prawda?" A on odpowiadał: „Kocham!" — i prędko schylał się do starej Mysi, albo wybiegał z pokoju, jakże mogła pani Bońska przypuścić, że czyni to, aby ukryć rumieniec... bo mu coś nagle szepnęło w ucho słowa: „Matczysko moje" — jak „pan" mawiał.

. . . .

„Honorny" był chłopak z Jasia... Rozumiał teraz, że wiele, bardzo wiele był winien przybranym rodzicom i gdy mu przychodziło na myśl, że źle im się odpłaca, że nie dosyć ich kocha, czuł się złym i bardzo nieszczęśliwym. Ale te dziecinne myśli z czasem ustawać poczęły.

Po zdanej maturze Jasia, „pan" dostał suplenturę w Brzeżanach, Jaś zaś zapisał się na wydział filozoficzny wszechnicy lwowskiej. Był ślicznym, eleganckim chłopcem z cygaretą w ustach... i już nic, nic nie poruszało w sercu struny

wyższej, ani lepszej... Po niższych zaczęło za to grać i coraz fałszywiej zgrzytać: owo zło, o którem państwo Bońscy myśleli, że bezpieczne za ryglami i kratami kryminału zamknięte...

V.

„Coś się znów psuje!“ — myślał coraz częściej pan Boński, choć żonie nic nie mówił, bo bardzo się ci ludzie miłowali i oszczędzali wzajemnie...

Zestarzeli się i zmienili oboje przez te dwanaście lat, które upłynęły od dnia, gdy w Zakopanem góral zostawił im blade pacholę w kuchni... Nie dziw, że pacholęcia niktby nie był poznał, bo i jodełki w górach za dwanaście lat nie poznasz. Ale państwa Bońskich nietylko powierzchowność się zmieniła — zmienili się oni jakoś cali, rzekłbyś — „sami w sobie“... Nieraz Wincenty, gdy przyniósł śniadanie i widział, jak jego pan żonę w rękę całował, a ona jego w czoło, jak słyszał go pytającego się: „Nic mamie nie brakuje?“ — bo tak za Jasiem nauczył się mówić, a ona z uśmiechem odpowiadała: „Nic!“ — choć wiedział Wincenty, no i pan przecież wiedział, że teraz dużo i często teraz brakuje!

Wtedy Wincenty, zamknąwszy drzwi za sobą, bił serwetą w stół kredensowy i głośnem: „Ot i tak!“ gardło sobie przecierał.

Bo miarkował on, że od roku prawie jakiś robak toczy coraz gorzej szczęście i spokój państwa... jaki? skąd? dlaczego?... Oni sami może Wincentemu nie byliby umieli wyjaśnić. Boć że się Jaś bawi... że może tu i ówdzie trochę z jaką mężatką poromansuje — wszak wszyscy młodzi to samo czynią! — że trochę przegrał w karty i to względnie do drugich nie tak bardzo wiele — no! pewnie, że to nie dobrze, ale znów tak bardzo złego nic w tem niema, kiedy nie honorowego nic nie było... że teraz lubi kolacyjki i kilka razy sobie na nich podpił — mój Boże! któremuż się to nie przytrafi?! Księdzem, ani mnichem nie jest, żeby mu nie

wolno było zabawić się trochę. Że nudzi się w domu, cóż dziwnego i w tem? On tyle czytuje, tyle wie; a u nas mało kto bywa, z nami mówić nie może o tem, co go zajmuje, bo dawniej o tem wszystkiem nikomu się i nie śniło!... trudnoż, by z nami się bawił!... Ale ma poczciwe serce!...

Tak z sobą czasami rozmawiali państwo Bońscy, czasami każde z osobna tak myślało; i dziwnem, niewytłómaczonem im się wydawało, że choć chłopiec, wedle ich przekonania, nie robi nic złego, choć im nigdy na myśl nawet nie przyszło słowa nagany mu powiedzieć, lub poskarżyć się, lub czegokolwiek mu odmówić, jednak od matury on tak względem nich się odmienił!... tak coraz sztywniejszym, zimniejszym w obejściu się z niemi wydawał się.

Dawniej, gdy nucił jaką piosnkę, gdy mu się oczy zaświeciły radością, to pani Bońska myślała sobie nieraz — (ale nigdy głośno tego nie powiedziała, bo się jej zdawało, że to do wierszy podobne, a ona się trochę wierszy bała, gdyż nie wszystkie rozumiała) — otóż myślała sobie, że te piosnki do szmeru potoku zakopańskiego, a oczy do barw jego w słońcu się mieniących podobne... a dziś — czemuż ta piosnka w wesołości swej niemiła jej uszom? a oczy chmurne od óczjej się odwracają? Czemuż, ach czemuż taki chłód!... jak od przepaści, jak od grobowca wieje dziś od tego ukochanego chłopca, któremu nieba byliby chcieli przychylić!...

Państwo Bońscy nie analizowali uczuć swych, ani spostrzeżeń nie obliczali; nie byliby umieli powiedzieć dokładnie, co i dlaczego boli; ale bolało bardzo!... I jeszcze chwilami wyrzucali sobie ten ból; cierpieli może trochę, jak stworzenia nieme, bez skargi, ani bez niecierpliwości. Cierpienie samo przez się, bez żadnych dodatków wyobraźni lub nerwów, wyryło się na nich; to też Wincenty i stara panna Julia kiwali tylko głowami do siebie z okien kredensu i garderoby, gdy patrzyli na państwo wychodzących z domu.

Panu Bońskiemu choć tuszy trochę przybyło, ale mu włosy jak śnieg pobielały. Do kasyna nie chodził, tylko

w domu czytywał dzienniki, bo mu dobrze było tylko z żoną... i tylko przy niej...

Było coś dziecięcego w sposobie, w jaki się oglądał za „mamą“, a było coś macierzyńskiego w ruchu, jakim ona nieraz białe jego włosy gładziła... Jej zaś powierzchowność na starość tak dziwnie wyszlachetniała, iż rzecby można, że wypiękniała. Cała postać szczupła, wydawała się szczuplejszą jeszcze i wątłą, a wyższą przez ciemne zawsze ubranie; włosy dawniej o zanadto czerwonawych światłach, teraz białemi pręgami od skroni się srebrzyły; w oczach dawniej tak zupełnie wyrazu pozbawionych, dziś było wejrzenie, które się spotyka w oczach matek przy chorem dziecku — było ciągłe pytanie, które lekarze tak dobrze rozumieją, którego nieraz tak się lękają... „Co dziecku jest? Będzie ono dobre?“... Biedne jej serce wzięło dobrowolnie na się jarzmo macierzyństwa, to też jego piętno wycisnęło się na bladych policzkach i w pytających oczach.

Biedne oczy! czegoż mogły się dopytać?! Biedni państwo Bońscy!... Całe życie omijając walkę, w zło nie wierząc, dobra nie szukając, jakże mogli dotrzeć do prawdy!? Cóż oni biedacy w ślepocie swej wiedzieć mogli o bakteryach, które wytwarzają wyziewy świata dla duszy? Oni, którzy jeszcze o bakteryach ospy i cholery tak mało słyszeli, a mniej jeszcze wierzyli w nie!...

Czyż oni mogli wiedzieć, że w tym kieliszku, kartach, w tej skosztowanej rozpuście — nie wino, nie pieniądz stracony, nie sterana nawet niewinność najgorszem złem, lecz złem strasznem, nieobliczonem — gangrena, którą po sobie jak gąsiennica plugawy jad w duszy zostawiają... ta gangrena, która rozkład wprowadza w każdą wiarę, w każdą miłość, w samą rdzeń zdrowia i życia, ta gangrena zgnilizny, która rośnie pożeraniem dobra, modlitwą zaduszoną, zanim serce ją wypowie — łzami wypitemi, zanim ócz dojdą, śmiechem zatrutym, zanim ucieszył... ta gangrena, która cierpienie w przekleństwo, szczęście w używanie przemienia, ta gangrena, która nawet pracę i powodzenie tylko gorączką pychy czyni i póty rakiem się wgryza i rozszerza, póki do szczętu nie zeżre duszy od Boga człowiekowi danej!...

Cóż oni mogli o tem wszystkiem wiedzieć? A mniej jeszcze, mój Boże!... czyż oni przypuścić mogli, że to chłopię ukochane, to dziecko ich... gdy chwilami jeszcze czuł, jeszcze poznawał, że rak straszny go zabija, gdy widział przed sobą bezdenną przepaść, w którą leci, a czuł, że nie ma czego się chwycić, by się zatrzymać, dźwignąć!... wtedy on, ich obwinia, prawie czasem przeklina!... Przypomina pacierz, który umiał, którego mu nie zachowali... przypomina czas, gdy chciał być dobrym i który nic nie przyniósł, chwile, które zgasły, bo nikt ich nie rozdmuchał... bo nikt drzewa do ognia nie dodał, i dlatego mu dziś czarno i zimno w duszy!... dlatego kwiat mu woni, słońce radości już nie daje i dlatego prawie przeklina tych, którzy go tak ukochali, dlatego o miłości ich zapomina i przeklina za przepaść, w którą leci, lecz z niej się wydobyć niema już ani siły, ani woli!...

. . . .

O tem wszystkiem państwo Bońscy nic a nic wiedzieć nie mogli... Cierpieli i milczeli, a tymczasem prosta miłość, którą przybrane dziecko pokochali, czyniła ich coraz lepszymi i szlachetniejszymi... to też było w nich obojgu coś rzewnego, co nietylko litość, lecz i poszanowanie budziło. Mogli odczuwać boleśnie, że między nimi a dzieckiem szczelina coraz szersza się rozpada... mogli wzajemnie nie mówić sobie, co ich boli, lecz wiedzieli: ona — co on myśli, on — co ona cierpi, i z tego wywiązywał się romans w życiu starych państwa Bońskich, który Wincentego w gardle dławił.

I nie dziw, że romansowali z sobą coraz bardziej — bo też coraz bardziej oni mieli uczucie, że stoją na kawałeczku lądu, który z dnia na dzień staje się wysepką... Woda, woda zimna naokoło, wszędzie woda świata, ludzi nieznanych, obojętnych, burze, których nie rozumieli, piękności, o które nie dbali. Wody, wody coraz więcej, a na tej wodzie w łódce Jaś, coraz od nich dalej, a dalej...

— Możeby mu lepiej było uczyć się za granicą — radzili raz państwo Bońscy, gdy chłopiec miał lat 23 i zapisywał się na trzeci rok tej filozofii, o której nic nie wiedział, a w którą oni biedni tak szczerze wierzyli...

— Moglibyśmy z nim wtedy pojechać do Niemiec lub Francyi — w zadumie dodawał pan Boński.

Jasiowi myśl ta się uśmiechała. Pan Boński poszedł szukać rady u profesora, przed laty poznanego w Szczawnicy. A potem z trudnością przyszło mu ukryć, jak bardzo się cieszy myślą zamieszkania przez rok w Fryburgu: kupował sobie laski zawierające w sobie parasol, poduszeczki składane w pugilaresie i cieszył się szczerzej, poczciwiej i bardziej po młodemu, niż Jaś. Pani Bońskiej za to ciężko przychodziło opuścić dom. Nawet mąż nie wiedział, jak miłość i cierpienie tę kobietę zmieniły: czego dziś szukała, co jej dziś miłem być mogło...

Podczas matury Jasia nabrała ona zwyczaju chodzenia codzień na Mszę św., „aby dziecku Pan Bóg dopomógł“! Tam raz widziała ochronkę całą przyprowadzoną przez siostrzyczki do grobu Pańskiego. Jaś był wówczas już w złej fazie i wiedziała już, że nie w jej mocy dać mu szczęście. Patrząc na gromadkę biednych sierot, z własnym bólem odezwało się w sercu żałosne porównanie: jak te łatwo by ucieszyć, uszczęśliwić — tak, jak dawniej, dawniej i Jasia.

Powróciwszy do domu, zamówiła placki, baby, pisanki i na święcone dzieciom do ochronki posłała.

Gdy siostrzyczka przyszła podziękować, rozmowa oczywiście padła na nędzę dzieci, a ubóstwo ochronki... I odtąd jedne i druga stały się pani Bońskiej zajęciem i pomocą w niejednej ciężkiej chwili.

Od tych świąt wielkanocnych nie zobaczono już pani Bońskiej bez roboty w ręku... gdy tuzin koszulek dziecinnych był zrobiony, posyłała go siostrzyczkom i nowy zaczynała. Trwało to już dość długo: kościół i ochronka przytuliły jej serce do siebie — od czasu, jak to serce cierpiało; to też strach jej było znaleść się gdzieś daleko od domu bez nich, jak choremu strach łóżko swe opuścić.

Lecz nie o nią chodziło: jechała z mężem i Jasiem... I dalej biedne oczy pytały: „Co dziecku? Będzie ono zdrowe?“ I zdawało im się, że się czegoś dopytały po drodze...

W Wiedniu, gdzie się chcieli kilka dni zatrzymać, dano im w hotelu te same pokoje, które zamieszkiwali za ostatniej

swej tu bytności... dawno temu!... podczas jednych z tych szczęśliwych wakacyj gimnazyalnych Jasia. Czy te wspomnienia, czy że będąc ciągle z chłopcem w podróży, więcej zdała sobie sprawę ze zmiany w nim zaszłej, czy, że za ciężko było patrzeć na to chłopię dziś tak obce... dość, że w przededniu wyjazdu z Wiednia zaproponowała panu Bońskiemu, ażeby Jaś sam jechał.

— Lepiej tak będzie — mówiła, stojąc przy fotelu męża i rękę opierając na ramieniu jego — lepiej niech sam jedzie, czy do Fryburga, czy gdzie zechce... Ja, czasem myślę, że może ciągła nasza opieka mu ciąży.

— Wszak nigdy słowa nagany mu nie powiedziałem! — przerwał gorąco pan Boński.

— Wiem, wiem! — gładząc białe włosy, ale pamiętasz? Małe było zawsze ambitne. Może myśli, że go za dziecko uważamy... niech jedzie sam!... rozerwie się; może więcej go uderzą te piękne i dobre rzeczy, które podobno są i w samym Paryżu... bo wiem, że o Paryżu marzy, a może w oddaleniu — może... — i tu głos jej trochę zadrżał — może i zatęskni za nami!...

Okropnie, okropnie się nie chciało tej zmiany projektów panu Bońskiemu. Nigdy nie czuł powołania do ofiary w sobie, a że mu ciężko było, przeto więcej jeszcze pragnął i cieszył się spodziewaną rozrywką... Lecz znów „mama“ taka mądra, i mówi, że dla chłopca będzie lepiej... musi mieć słuszność!...

Czy ją miała? któż powie?! Ale w kilka dni potem odprowadzali państwo Bońscy wczesnym rankiem Jasia na dworzec kolei Południowej. Jechał najpierw do Wenecyi, potem na Medyolan, Monachium, Strassburg do Paryża — na studya filozoficzne...

Jaś już w wagonie; drzwiczki zatrzaśnięte — na kędzierzawych włosach już czapeczka podróżna, na bakier założona, jakby drwiąc z świata całego. Oczy błyszczą, prawie się iskrzą, a usta nucą ale nie, ach, nie! nie było to to, co pani Bońska porównywała z potokami górskiemi.

Stali starzy oboje przed wagonem, pan Boński krząkał, ona miała bolesny uśmiech na bladej twarzy i od czasu

do czasu powtarzała ciągle to samo: „A uważaj na siebie!... pamiętaj!... i napisz!“...

— Dobrze, dobrze — naturalnie! — odpowiadał chłopiec. I nucił aryetkę Offenbacha.

Fertig! świst, ruszają, prędzej, prędzej — czapeczka w górę, jak na wiwat!

Pani Bońska stoi, od ust żegna ręką... i kreśli w powietrzu — co?! Krzyżyk?! Tak!... Krzyżyk maleńki chłopcu nie zaszkodzi... Pan Boński chustkę wyciąga z kieszeni i powiewa nią, i zapomina się, bo idzie za pociągiem powiewając, idzie, prawie stary biegnie, a czapeczka wiwat wiwat, wiwat sygnalizuje, i znika, i pociąg znika, i tragarze się rozchodzą; gdzie niegdzie jakaś postać stoi, oczy ociera, patrzy jeszcze za pociągiem i odchodzi. Tak państwo Bońscy stali i patrzyli, aż się zwrócili.

On schował chustkę, odkrząknął:

— Ha! chciałaś tego! wyrzekł. Ale może będzie gorzej jeszcze.

Ona wsunęła rękę pod ramię jego i nie odpowiadając, zapytała tylko:

— Chcesz?... Chodźmy się pomodlić do kościoła, żeby był zdrów i dobrze mu się powodziło.

Jasno nad Wiedniem świeciło słońce i wesoło wołały dzwony na ranną Mszę, gdy państwo Bońscy wchodzili razem do kościoła, aby w miłości i cierpieniu poruczyć dziecko swe opiece lepszej, niż oni mogli mu ją dać...

Od dnia tego, gdy pani Bońska wychodziła przed śniadaniem z domu, codzień te same słowa słyszała z trzeciego pokoju: „Niech mama trochę poczeka! i ja pójdę!“

Dwie sprawy zatrzymały ich w Wiedniu dłużej, niż zamierzali, sprzedaż willi „Röschen“, choć ją lubili bardzo, lecz wiedzieli, że teraz na studya Jasia w Paryżu trzeba będzie pewnie więcej łożyć. Przeto chętnie starzy, nie czując nawet, że czynią ofiarę, pozbywali się domu i oszczędności we własnem życiu zaprowadzali. Drugą sprawą, oddawna na sercu im ciążącą, którą teraz przeprowadzić chcieli, była adoptacya Jasia.

Raz jeden, w kilka miesięcy po maturze, pan Boński wspomniał o tym swoim zamiarze chłopcu — i wówczas to oświadczenie napotkało na dziwną z jego strony opozycyę... Rozpłakał się wprawdzie i po raz pierwszy w życiu do kolan się pochylił przybranemu ojcu; lecz podniósłszy się, stanowczo, choć drżącemi jeszcze usty, kilka razy powtórzył: „Nie! nie! kto wie, co ze mnie będzie... nie chcę poczciwego waszego nazwiska... zawlec może za sobą do błota!“...

Nie bardzo pan Boński, ani nawet „mama“ zrozumieli wtedy, o co mu chodzi; ale iż zmiarkowali, że jednak wdzięcznie chęci ich przyjął — umyślili teraz, z wyjazdu jego korzystając, sprawę tę przeprowadzić... Jak nigdy im na myśl nie przyszło obwinić go o to, co ich w nim bolało, tak nigdy nie powstała ani myśl w głowie, ani uczucie w sercu, aby Jaś Szyszka przestał być dla nich jedynym, najdroższym synem...

VI.

Niezwykłego nic nigdy nie było w dziejach państwa Bońskich, a z wyjazdem Jasia do Paryża stały się jeszcze zwyklejszemi; bo wśród gwaru świata, toczącego się z wieku do wieku, ileż to rozsypanych smutków, podobnych do tego, który, bądź co bądź, opuścić ich nie chciał, ileż to takich biednych starych serc, które dziecku dały z siebie miłości, poświęcenia, przebaczenia i troski, ile w sobie miały... i wszystkie swe myśli i własne pragnienia, jak i miłość swą własną, a za wszystko odebrały tylko: obojętność, niecierpliwość złego humoru, a potem — zapomnienie, często za łaską Bożą chwilowe, czasem jednak już za późno przerwane...

Jak dawniej, tak i teraz, do czego państwo Bońscy mało mieli zdolności, to do obliczań przyczyn i skutków...

Jaś pojechał, bo tak dla niego mogło być lepiej. Czegoś brakowało im w Jasiu: trzeba mu dać więcej, niż dotychczas dawali, to się jakoś wypełni, odnajdzie ów brak. W formę

więc urzędową adoptacyi włożyli całe swe serca i ich nadzieje wszystkie. Zdawało się im tak naturalnem, że gdy Jaś nazwisko ich nosić będzie, toć przecie — będzie ich synem, synem prawdziwym, więc coś nagle w nim się zmieni... Będzie cały ich, ich dzieckiem własnem, będzie się do nich cieszyć, uśmiechać, za szyję ich brać, jak to wtedy, dawno temu już, gdy leżał chory w łóżeczku, i myśleli, że umrze, a potem wyzdrowiał, wypiękniał jeszcze, i tak z dniem każdym milszy oczom, droższy sercom się stawał. Państwo Bońscy odnajdywali w sobie troskę, podobną tamtej przed laty; wyglądali też pociech, które po tamtej nastąpiły, nie pytając się: wraca-li kiedy to, co się już przeżyło?...

Formalności urzędowe niezbyt długo trwały i starzy poczęli już sobie układać, jak za przyjazdem Jasia na wakacye, powitają go, tego syna swego!... radosną wiadomością... jakie będzie jego zdziwienie, bo dotąd o niczem nie wie!... jaka radość! jak wszystko teraz będzie inaczej, weselej: bo któż to wie? — może to właśnie, że nie wiedział, na jakiej z nimi stopie stoi, to właśnie było powodem tego pewnego onieśmielenia jego, bo o brak serca posądzać go nie można!... Teraz dopiero będzie synem, będzie swobodnym, szczęśliwym, wesołym. „Bo cóż mogłoby mu jeszcze brakować?... Cóż bylibyśmy mogli mu więcej dać?“ — powtarzali w prostocie serca państwo Bońscy. I radośnie liczyli — wracając do Lwowa — tygodnie, które jeszcze ich od wakacyj dzieliły...

. . . .

Lecz na wakacye Jaś nie przyjechał. Napisał, że pewne koleżeńskie zobowiązania zmuszają go pozostać w Paryżu aż do wyścigów... że później, zaproszony przez pewnego bankiera sportsmana, aby mu towarzyszył na brukselskie... wreszcie, na zakończenie wakacyj gorąco mu radzi przyjaciel lekarz, aby pojechał do Trouville.

„Wszystko to razem — pisał — przyjemniejsze, a może mniej kosztowne, niż podróż do Galicyi i napowrót“.

Markotno się zrobiło państwu Bońskim, choć każde z nich udawało przed drugiem, że owego słowa „przyjemniejsze“ nie przeczytało, nie uważało, a każde czuło, że

drugie tylko to właśnie słowo zrozumiało, zapamiętało... Ale jeszcze teraz nie chcieli się smucić, jak gdyby to Jaś w czemś uchybił im; nie, nie byli smutni... tylko trochę niemiło, gdy nadzieja przyjazdu kochanej osoby zawiedzie.

— Trzeba będzie mu napisać o całej sprawie — mówił jednego dnia rano, wracając z kościoła pan Boński do żony. — A masz ty gotowe te batystowe chusteczki z monogramem i pieczątkę herbową? Możesz równocześnie posłać mu to pocztą.

— Od miesiąca leżą w szufladzie — odrzekła trochę niepewnym głosem pani Bońska.

— Przydadzą mu się właśnie teraz w tym jego wielkim świecie — dodał pan Boński i chciał się do „mamy" uśmiechnąć, a ona chciała mu okazać, że wierzy w ten uśmiech. I tak wzajemnie się podpierając, wracali do domu i wołali na Wincentego, aby śniadanie dawał, jak gdyby właśnie o tem śniadaniu tylko myśleli...

Zazwyczaj „mama" prowadziła korespondencyę z chłopcem; dziś pan Boński chciał sam pisać. Pisał więc trochę drżącą ręką, staroświeckim zawiłym stylem i czasami się myląc — ale jak umiał. Pisał do Jasia Szyszki, sieroty z gór, że mu daje nazwisko swe, herb rodowy i że majątek, jaki posiada, jako synowi swemu po śmierci cały zostawi. Ze cztery razy, a może i więcej, pisząc ten list, nie długi, musiał pan Boński okulary przecierać i nos ucierać, i za każdym razem tłómaczył żonie: „Zakatarzyłem się".

Na co ona — za każdym razem odpowiadała spokojnie: „Może dziś rano". I trochę niżej pochylała głowę nad pudełkiem, w którem powoli składała chusteczki, jakby pieszcząc się ze splecionemi tak związanemi z sobą literami: J. B...

Ostatecznie dobry był to dzień dla starych. Sercom, które dużo kochają i przebaczają, w własnej tej ich miłości i pobłażliwości dużo Bóg miodu daje!... Wśród pisania, pakowania, wysyłania Wincentego na pocztę, powrotów jego dla niedostatecznych i znów zbytecznych pieczęci i deklaracyj — zapomnieli, że jakikolwiek ich zawód krył się w tej wysyłce, a została tylko radość, że znów dobrze uczynili temu, którego nad życie ukochali.

I znowu z okna garderoby panna Julia kiwała głową do stojącego w oknie kredensu Wincentego, gdy państwo Bońscy po obiedzie wychodzili na codzienny spacer. Wesołe były stare twarze i chód rzeźwiejszy: wnuczka starej Mysi, taka sama jak tamta Mysia, skakała wokoło państwa i wróble goniła, a oni zatapiali się w przypuszczeniach: jak to chłopię przyjmie tę wielką, tak dla niego ważną zmianę... pewnie i o wyścigach zapomni i przyleci sam!... Taka droga ta twarz jego, gdy radością i wdzięcznością promienieje!... Za ileż dni mógłby tu być? za dziesięć? ach, nie! wszak pięć dni idzie list... dwanaście może? tak, dwanaście do czternastu: nie może wylecieć tej samej godziny... Komu on tam będzie mógł powiedzieć o swojej radości?... Potem zwracała się rozmowa do przyszłości dalszej.

— Trzeba niebawem napisać testament na rzecz jego, a potem, — potem musi mu mama żony poszukać i wnucząt się dochować... Co mamo?

I tak samo dalej a dalej, w prostej wielkiej swej miłości, ten sam przedmiot obrabiali państwo Bońscy i dobry, bardzo dobry był to dzień dla nich...

Minęło dwa tygodnie...

Jasia może wParyżu przesyłka nie zastała... może nie pisze, bo sam jedzie, a może w uniwersytecie chciał się wypisać i to mu zabrało kilka dni... może...

Wreszcie jednego dnia weszła pani Bońska do jadalnego pokoju cała rozpromieniona: „List! list od Jasia! odpowiedź, czytaj prędko! nie, lepiej ja przeczytam, on niewyraźnie czasem pisze“.

Czytała więc pani Bońska i czytając poszukała ręką poręczy krzesła i oparła się o nią, a potem usiadła jakby bardzo znużona. Oto, co pisał syn ich:

„Kochani rodzice!

„Przed kilkoma dniami odebrałem list ojca... Nie przypuszczałem wcale, że doprowadzicie do skutku zamiar, który tak dziecinnie traktowałem przed czterma laty — wszak

cztery? Jak to dawno temu! Dziękuję wam serdecznie za to, co jednak da mi jakie takie stanowisko w świecie... O niezgasłej mojej wdzięczności możecie być przekonani! Nie mam czasu dłużej pisać: cały Paryż rozgorączkowany dzisiaj odbyć się mającemi wyścigami... Sławny Jolly Boy, na którym w ostatniem Derby przegrano, a względnie wygrano, jak mówią kilkadziesiąt milionów, biega dziś z amerykańskim Humbug i berlińskim Pepi. Stawki niebywałe, bo niesłychanej rzeczywiście doniosłości przy kim pozostanie zwycięstwo... Ja grubo zaangażowałem się na Humbuga, ale też za kilka godzin mogę być w posiadaniu jakich 80.000 franków, co przyznacie, że będzie ładne!... Powiedziałbym nawet, że może na przyszły miesiąc nie będę potrzebować sumki, którą mi zwykle przysyłacie, gdyby nie to, że jednak zawsze wyścigi ogromnie kosztują. Całuję Was serdecznie.

Jan Boński".

„O mało, że nie zapomniałem podziękować za pieczątkę i chusteczki — a, wcale ładne; nie przypuszczałem, aby we Lwowie jakakolwiek robota mogła być równie porządnie wykonana... Poczciwa korona szlachecka może uchodzić za koronę markiza, *et ma foi, cela fait très bien!* — dziękuję więc też bardzo!"...

Coraz prędzej, coraz ciszej, jakby jej głosu brakowało — czytała pani Bońska. Skończywszy, ręce opuściła i spojrzała na męża... On stał bardzo cicho, patrzał w ogród — i wargi mu drżały. Nie powiedzieli sobie starzy, że ten, którego tak bardzo, ach, tak bardzo miłowali! złym się stał — nie pomyśleli może, że ogłupiał w zepsuciu, ale zrozumieli, że dziś od niego, od miłości jego ku nim, już niczego spodziewać się nie mogą.

Był to najdłuższy, najcięższy dzień, jaki w życiu mieli państwo Bońscy. Do późna siedzieli na małej werandzie; noc była cicha i ciepła... mówili mało do siebie, a jednak każdemu z nich zdawało się, że gorzej będzie drugiemu, gdy znajdzie się sam. Wreszcie wstał pan Boński, jak co wie-

czora, zabrał rozrzucone dzienniki, fajkę, zapałki i znów stał i patrzał w jasną noc... — I co dalej? — pytał jakby siebie samego — co dalej?

Ona stała przy nim i patrzała w górę: „Pan Jezus pomoże!“ — odrzekła. I cichą i jasną jak ta noc księżycowa była jej twarz.

Bardzo to były zwykłe te dzieje starych państwa Bońskich i ich miłości...

VII.

Znów jesień — cudowna polska jesień: o złoto-purpurowych lasach, o białych pajęczynach po ścierni się czepiających, o porankach mgłą spowitych, z których wykwitają ciepłe dnie, o długich szafirowych cieniach kładących się na zielonej jeszcze murawie... Znów taka jesień rozpościerała swe przepychy nad tym biednym, w słońce ubogim krajem. Państwo Bońscy byli właśnie zmienili pomieszkanie na mniejsze jeszcze i tańsze, bo od miasta bardziej oddalone.

Jaś przed miesiącem wrócił po trzechletnim pobycie za granicą... Zabawił z nimi tydzień i pojechał szukać po stadach wierzchowca dla siebie.

A oni?... Oni kontenci byli, że odjechał... mniej ciężko było bez niego, niż z nim...

Po powrocie jego chcieli się otrząść koniecznie z wrażenia chłodu i obczyzny, które każdy list jego z sobą przez te lat trzy przynosił... Zaczęli po dawnemu wypytywać o szczegóły życia, zajęć, zabaw, ale nie szło to — odpowiedzi były zbywające z początku, wkrótce niecierpliwe lub wprost pogardliwe. Zaniechali więc pytań starzy; ale jak mraka listopadowa, bytność jego poczęła ich mrozić i ubezwładniać... Może to oni byli tak zacofani? Ale dość, że gdy do matki Jaś się odzywał: *Dis-donc, petite mère*, lub gdy śmiejąc się ponad ramię pytał panny Julii, którą dawniej zwał „nianią“. „Cóż panno Julio! o mężu coś nic nie słychać?“ — wtedy na blade policzki pani Bońskiej występo-

wał rumieniec... Wstyd jej było za niego, oburzenie podnosiło się w jej łagodnem sercu. Czyż ten chłopiec nie umiał nic innego, jak niecierpliwić się lub lekceważąco żartować w domu, który pomimo wszystkiego, pełnym był dla niego miłości, jak ul miodu.

Czasami próbowało jeszcze jedno z nich zażartować także — prawda, że zwykle niezgrabnie, bo nie po żarcie było im w duszy, nawet, gdy tylko zaśmiało się które z nich, w tej chwili żart, czy śmiech konał, zaduszony głośnem: „Ha! ha! *charmant! parfait! vraiment unique!*“ Paryżanina kołyszącego się w fotelu.

To też kontenci byli, że znowu sami z sobą starzy państwo Bońscy.

Cały ów cudowny październikowy dzień zeszedł im na urządzaniu się w nowem mieszkaniu. Zawieszali sobie makaty i obrazy, rozstawiali graciki, radzili długo nad tem, czy to dobrze zawieszone a owo czy stosownie stoi... im żadne *charmant,* ani *parfait* nie przyszło do głowy, a na tę chwilę zapomnieli o tem, że coś gniecie, że coś bardzo cięży na sercu. Skończywszy urządzenie saloniku, jak codzień, gdy słońce poczęło się zniżać, zebrali się państwo Bońscy, zawołali Mysię i wyszli na spacer do Parku Stryjskiego, opodal którego mieszkali. I szli sobie wolno wśród cudownej jesiennej przyrody i nie było im tak smutno, jak przez ten tydzień pobytu Jasia z nimi. A pani Bońska nie robiła już porównań do wierszy podobnych; więc nie zastanawiała się i nad tem, że ich jesieni nie uczynił Bóg tak piękną, jak tę, którą światu w tym roku dał... może nie myślała o tem, o ile jednem ziarnkiem miłości, danem jej sercu, jesień jej jednak od wiosny piękniejszą się stała... może nie zrozumiała tego, ale miłość i cierpienie, te dwa czynniki, które świat zbawiły — w duszy jej i przez nią — dzieło swe dalej prowadziły.

U wejścia do parku, w chwili, gdy pani Bońska spojrzawszy na twarz męża, (która tak pooraną zmarszczkami wydała się jej w tem różowawem już oświetleniu słońca), powtarzając swoje: „Zobaczysz, zobaczysz! Pan Jezus jakoś pomoże!“ — w chwili tej ujrzeli przed sobą dalekich, dawno zapomnianych krewnych, z Podola Rosyjskiego —

państwa Ignaców Bońskich. Dawniej byliby poprzestali na chłodnem powitaniu; lecz na starość człowiek tkliwym się staje na wszystko, co z przeszłości ku niemu zawita; a obecnie państwo Bońscy nietylko starymi, ale i trochę obniżonymi, sponiewieranymi we własnych oczach się czuli, przez te wszystkie żarty, przez lekceważenie Jasia... Radzi byli porozmawiać, przekonać się, że z ludźmi, którzy, jak państwo Ignacowie, ogólnie za wykształconych uchodzili — oni, starzy, jako tako rozmawiać umieją. Dziwili się prawie, że ich słów słuchają, że na nie odpowiadają bez drwin: radzi byli ze siebie. Ogarniało ich dawno zapomniane uczucie, że jeszcze ktoś o nich dbać może i z nimi się nie nudzić... To też bardzo wkrótce rozmowa stała się serdeczną. Dawne stosunki raz po razie, wśród wiadomości nowych się przypominały; o osoby i rzeczy, dawniej obojętne, wypytywali się z zajęciem: mimo wiedzy idąc za odpowiedziami dawanemi przez staruszków, cieszyli się powodzeniem, smucili smutkami prawie nieznanych ludzi... Było im jasno, poczciwie w sercu; zdawało im się, że po nowej, dotąd nieznanej krainie chodzą...

Państwo Ignacowie tego właśnie dnia byli z synem, synową i dwiema wnuczkami przybyli do Lwowa, po drodze do Zakopanego, gdzie dla zdrowia starszej wnuczki, dopiero co powstałej z ciężkiego tyfusu, zamierzali zimę spędzić.

Ze Lwowa wysłali zaufanego służącego z pakami futer i dywanów, kucharzem i naczyniem kuchennem, aby im dobrali i urządzili mieszkanie. Czekać mieli we Lwowie na wiadomość, że wszystko gotowe aby ruszyć dalej. Stąd wynikło, że stosunki wzajemne państwa Ignacych, młodszych państwa Kazimierzów i dobrze nam znanych państwa Antonich Bońskich, stały się codziennemi. Codziennie jadano razem obiad — u tych ostatnich; po obiedzie na małej werandzie przy kawie, którą od pierwszego dnia Mania, młodsza córka państwa Kazimierzostwa rozdawała, przy kawie panowie wszczynali rozmowy nad gazetami, a panie i panienki z robótkami w ręku gwarzyły po trosze o wszystkiem.

Jednego dnia pani Ignacowa, zdejmując okulary i zakładając ręce nad robotą, zwróciła się do pani Bońskiej:

„Ale nic też dotąd nie mówiłaś nam o waszym przybranym synie? Wszak to już młodzieniec musi być? Gdzież teraz jest? Czegoż się uczy?“.

Jak dziecko na gorącym uczynku schwytane, tak biedna pani Bońska zaczerwieniła się, zmięszała, chcąc się uśmiechać, a czując, że nie zdoła, odrzekła jąkając się: „Tak! Jaś duży chłopiec, to jest — młody człowiek... tak... jest w Paryżu... to jest wrócił, był tu, odjechał“... I wszystko razem utonęło w gardle ściskającem się, w oczach — robótki już nie widzących.

Pani Ignacowa z naiwnością, czyli zaślepieniem, często u najpoczciwszych staruszków czyniącem, że dotykają rany krwawiącej się, nie domyślając się wcale, że istnieje, ciągnęła dalej, na nowo okulary zakładając i nowy drut u pończoszki zaczynając: „Tak?! w Paryżu, proszę! proszę! Ale to niebezpieczne miasto... i częste miewacie pewnie listy... bo to młodzi!“...

Od chwili już pani Bońska była wstała, jakby do światła większego niosąc jakiś nieudany ścieg w hafcie swym... Mania na nią spojrzała, a potem, zwracając się do Babki, trzpiotowato, jak to jednak nie było w jej zwyczaju... pochwyciła w lot rozmowę: „Otóż to! babcia zacznie na młodych wygadywać, bo to babcia tylko czyha na to, aby bliźniego obmawiać... znamy się babciu!!! a potem niech wnuczce wyrwie się najniewinniejsza prawda o tym bliźnim, już bura leci... — i plotła dalej i dalej, póki babka, matka i siostra śmiechem nie parsknęły, a pani Bońska z słodkim swym, spokojnym uśmiechem na twarzy do grona ich nie wróciła.

Przyniesiono wkrótce herbatę. Mania nie proszona o to, zajęła się jej nalaniem, a przechodząc koło pani Bońskiej, pochylila się i całując ją w ramię, z pieszczotą w głosie zapytała: „I ciocia dziś się napije, prawda? Taka dobra ta poobiednia herbatka!“ A patrząc w oczy, wyglądała, jakby właśnie o herbacie nie myślała.

Odpowiedziały też jej stare wypłakane oczy i też nie za herbatę podziękowała pani Bońska... biorąc w obie dłonie główkę ku niej nachyloną i całując lśniące kręte włosy...

a od tej chwili te dwa serca kobiece zrozumiały i pokochały się na całe życie.

Nad wyraz bo też sympatyczną była ta gromadka z trzech pokoleń złożona. Staruszkowie w powadze wieku, pokorni jednak, jakby po za nimi długiem pasmem nie ciągnęło się życie pełne pracy, ofiar, nieraz cierpienia. Za przeszłością nie oglądali się z tęsknotą, teraźniejszości nigdy skargą nie obrzucili, w przyszłość jako wierni słudzy Pana patrzyli bez trwogi. Czasami pan Ignacy mawiał jeszcze „moja Mościa Dobrodziejko“, jak żona jego „Asan Dobrodziej“, a wszystko razem było takie proste, serdeczne, prawe, że każde serce do nich lgnęło, jak do cząstki własnej przeszłości...

Syn ich, pan Kazimierz, był słuszny; przy dobrze już szpakowatych włosach miał jeszcze ruchy młode, czoło szerokie i jasne jak umysł, oczy siwe patrzące ludziom i wypadkom wprost w twarz, bo serce ani fałszu, ani trwogi nie zaznało nigdy...

Żart miał częsty, z niepohamowaną werwą wykrywający śmieszności położenia, czasem ludzi. Wtedy matka się gorszyła, żona i córki remonstrowały; ojciec z pod wąsa dorzucił słowo, i ostatecznie ta dziarska, studencka prawie wesołość pana Kazimierza, była potrzebą dla całej już rodziny: zdrowia przybywało po jednym z tych długich szalonych śmiechów, które on umiał wzbudzić...

Z żoną zachował dotąd obejście młodego męża, przytulając jej głowę o ramię swe, choć i na tej głowie niejeden włos się już srebrzył, całował rękę z pieszczotą i nikt się temu nie dziwił. Dla dziewcząt matka była ideałem wdzięku, piękności, a szczególniej anielskiej słodyczy — a nietylko w rodzinie, lecz w świecie, który ją znał, była i do śmierci miała zostać: „Jadzią“ i „panią Jadzią“... same aksamitne czarne oczy, któremi patrzyła, nazwę tę wywoływały. Pan Ignacy porównywał ją nie bardzo poetycznie: do ciepłego szlafroka, którym „się człowiek obtula, gdy chce wypocząć“. Ale Terenia protestowała: „Nie, nie! Mama to owa puchowa poduszeczka pod głowę — dopiero w tyfusie zrozumiałam — czem ona... i czem mama“ — ciszej kończyła.

Dziewczęta podzieliły się przymiotami rodziców: Renia miała obejście i oczy aksamitne matki, Mania szybkie ruchy, oczy modre, żart zawsze gotowy — ojca. Jeśli Renię każdy artysta byłby wziął na wzór do postaci anioła, z Mani byłby zrobił wiosnę lub jutrzenkę. Prości ludzie mawiali: „Hej, miłe zdrowie panienka Mania!“ I była też uosobistnionem zdrowiem. Ciało miało zgrabność i siłę sarny, umysł pewną słoneczność, która wydobywała jaśniejsze niż u drugich światła, ciemniejsze cienie każdej sprawy, uczucie w niej rozkwitało się w pełni zdrowia i prawdy... Bóg ją hojnie obdarzył, a wszystkiemi darami temi ona wiernie, w prostocie dziecka dzień po dniu jemu służyć chciała. Cel ten był życiem jej życia: o niego rozbryzgiwała się wszelka małostka próżności, jak wszelka też fałszywa poezya marzenia – urojonych smutków i zawodów... Jeżeli Renia miała się stać osłodą w próbach, a ozdobą w powodzeniu rodziny, dość było kilka razy zajrzeć w mądre oczy a mędrsze jeszcze serce Mani, aby powziąć przekonanie, że ta żadnej z dusz jej przez Boga powierzonych nie zatraci, że o dobro ukochanych, o dobro prawdziwe, mądre to serce starać się a walczyć będzie do ostatniego tchu...

Na kilka miesięcy przed jej urodzeniem państwo Kazimierzowie stracili jedynego syna, mającego wówczas już lat cztery. W wielkiej tej, po chrześciańsku przyjętej boleści, pierwszą osłodą były pierwsze słowa przez Manię wyszczebiotane, a niesłychana jej żywość i pewna niepohamowana fantazya uczyniły, że ojciec z czasem przeniósł na nią miłość, którą syna kochał: uważał ją za chłopca i towarzysza, więcej niż za córkę... zawsze można było ich widzieć z sobą, czy to po zabudowaniach gospodarczych chodzących, czy w polu na tarantasie... W domu o każdej godzinie dnia słyszało się: „Manuś pójdziesz?!“ A dziewczę odpowiadało: „Idę!“ nie wiedząc jeszcze gdzie i po co.

Z latami stosunek ten stał się czemś niezwykle pięknem. Tak! ciągle razem byli i ciągle też mieli z sobą o czem mówić, o czem radzić; bo cokolwiek życie przyniosło, trzeba było to rozsortować: dziadziowi, babci, mamie

i Reni, odłożyć całą treść miłą, wesołą, a we dwójkę sobie podzielić co ciężkie, grożące i smutne.

Nigdy między nimi o tem mowy nie było; ale jak koń do pociągu przywykły sam wchodzi w szle, któremi ciągnie, tak oni oboje wszystko, co było szorstkością lub ciężarem życia codziennego, uważali za wyłączną własność swoją.

Zabawnie podobną intonacyą słów: „My to zrobimy! nie turbujcie się!“ ojciec, jak córka odpowiadali na większe czy mniejsze trudnostki przedstawiające się — jednem wejrzeniem rozumieli się w miłości, którą — rodzinę i siebie nawzajem tak bardzo po Bożemu miłowali.

Niepodobna było z tymi ludźmi pozostać na stopie obojętnej, bo ci, którzy ich nie umieli ocenić, oddalali się od nich, jako od czegoś, co ich niepokoiło, bo niesmak do wielu dawniej uwielbianych ideałów wzbudzało. Ci zaś, którzy zdawali sobie sprawę z wielkiej wartości ich, musieli być do nich w pewnej mierze podobnymi, musieli jak oni znać prawdę życia i w niej i dla niej żyć... I tacy odrazu stawali się w tym domu swoimi.

Owych „swoich“ różne były kategorye: najpierw krewny, bogaty czy ubogi, blizki czy daleki, zabawny czy nudny... swój, któremu się zawsze rękę podaje, bo takie prawo Boże... i przed złem strzeże ile możności.

Byli swoi, z dziada i pradziada zrośnięci tradycyą, wychowaniem, stosunkami. Byli często swoi, bo przez swoich poleceni... Byli wreszcie swoi, czasem niedawno poznani, odszukani w tłumie świata, ludzie prostych, prawych serc.

I jak skała nad brzegiem morza rośnie przez muszle i piasek i kamyczki, które na nią morze wyrzuca, a czas w nią inkrustuje, tak rodzina ta i tradycya jej miłości, rozdawanej w prawdzie a prostocie, jak Bóg przykazał, rosła i potężniała w dobrem. I na tę skałę, w objęcia i opiekę tych ludzi, wola Boża — jak muszelki z morza — wyrzuciła naszych państwa Bońskich i zmacerowane ich biedne serca...

VIII.

Po dziesięciu dniach tego wspólnego pożycia z dziwnem ściśnięciem serca usłyszała pani Bońska, że w Zakopanem mieszkanie gotowe i że na drugi dzień wyznaczony — jak mówił pan Kazimierz — wymarsz ze Lwowa.

Wiadomość ta zrobiła jej wrażenie niespodziewanego ciosu... zdało się jej, że po odjeździe tych ludzi nie zdoła nałamać się do tego co było, zanim ich poznała; obudzili oni w niej nowe jakieś życie, teraz zabiorą je z sobą... Po ich odjeździe otoczy ją zima nietylko listopadowemi ciemnemi dniami, ale jakaś zima bez nadziei wiosny w niej samej osiędzie. Jakiś ciężar, z którego dawniej nie zdawała sobie sprawy jak kamieniem piersi jej przygniecie. A tu ten biedny kochany stary, i ten chłopiec, pomimo wszystkiego taki drogi!... Jakże ich ratować? A ratować trzeba!... Kiedy taki letarg ją ogarnia, kiedy po za smutkiem obecnym ona już zaledwo wie, że Bóg na niebie jest i zostaje...

Po złej nocy wyszła z domu wcześniej niż zwykle, chciała po Mszy św. pójść do najlepszych, najdroższych złotników, znaleźć jakie pamiąteczki dla dziewcząt... dla Mani coś, coby ona ciągle miała przy sobie, aby choć myślą do nich starych wracała... „Coś ładnego, ślicznego, coś wyrobionego, jak ona sama: przedziwne dzieło Boże!"... I te słowa, myśl i prawie usta jej powtarzały i powtarzały bez końca... i łzy do óczu podchodziły, i bezmierny smutek podnosił się z jej serca, jak mgła wieczorna rozchodził się po członkach, ciężył na głowie i ramionach, nogi pętał, pierś uciskał...

Uklękła w kościele na zwykłem miejscu, twarz w dłoniach schowała i próbowała się modlić; ale słowa przed myślą uciekały, uczucia żadnego nie miała, prócz spowicia ogólnego w tej zimnej mgle smutku, i naraz zrozumiała, że chora — więcej!... że śmierć idzie, że musi jakoś dostać się do domu; potem zrozumiała, że jedzie powozem, do którego nie wiedziała, jak wsiadła... Ujrzała ogrodzenie własnego ogródka: chciała zawołać Wincentego — powstała i straciła przytomność.

. . . .

Wieczorem dnia tego siedziała Mania z koronką w ręku — w pokoju tylko nocną lampką oświeconym, przy łóżku pani Bońskiej.

Wielka cisza choroby rozpostarła się po całym domu... Czasem szept dwóch głosów, czasem w kominku ogień w górę iskrami strzelający na chwilę przygłuszały głos starego zegaru, a potem znów on jeden mówił o życiu przemijającem... o śmierci nadchodzącej.

Mania modliła się i od czasu do czasu szybkim ruchem palców zmiatała łzę spływającą po policzku; Mysia na kolanach jej leżąca podnosiła wtedy główkę i uszka, a potem zwracała się do łóżka, na którem przez sen cicho jęczała jej pani...

„Manuś!“ — odezwał się szept w salonie.

Wstała Mania, otuliła Mysię szalem na fotelu i stanęła w drzwiach posyłając od ust pocałunek ojcu; a tenże, choć od urodzenia jej dzień po dniu cieszył się nią i częścią życia jego stał się urok, którym Bóg ją obdarzył — w tej chwili jednak raz więcej odczuł dziwne błogosławieństwo w młodem tem stworzeniu widome... Zanim przemówił, choć i jemu wesoło na sercu nie było, jednak wszystko ucichło przed poczuciem, jak jasną pociechą smutnych być musi i będzie w życiu to kochanie jego!... Stała w półcieniu: jasne, mądre, pytające oczy, w oczy jego patrzące — światło lampki nocnej oświecało prawie dziecinny jeszcze owal, a na ręku czuł uścisk ręki już kobiecej, która ugłaskać, ale i dźwignąć zdolna, a głos pełen miłości, tych skarbów miłości, któremi wiedział jak serce przepełnione... Z lekkiem, przytłumionem drżeniem pytał:

— A cóż lekarz mówi?

— Uważa rzecz za bardzo poważną... atak sercowy, zwiastujący jakieś zapalenie, a noga nietylko złamana, ale i ze skóry odarta o żelazny stopień w dorożce... bardzo łatwo może się zajątrzyć.

— Zatem?

— Do trzech tygodni niebezpieczeństwo — a jeśli je przeżyje, do trzech miesięcy łóżko.

— Biedak on! — i dziewczę rękoma oczy zasłoniło.

— Kto on?

— Stryj nieborak — żeby go papa widział, jak wchodzi na palcach, niby to nic, i niby to uśmiechnięty przysuwa się do łóżka... i tylko oboje do siebie głowami kiwną i on odchodzi, udając, że krząka, a ucieka do siebie, bo go łzy dławią... Ona prosiła, by jutro rano ksiądz przyszedł.

— A po chłopca czy telegrafowaliście?

— Tak, ale nie bardzo wiedzieć, gdzie jest obecnie... Cztery telegramy wysłałam wedle wskazówek Wincentego.

I usiadłszy obok siebie, dalej rozmawiali po swojemu, jak zawsze w biedzie.

— Maniu! gdzie Mania? — ozwał się głos chorej, drżący jakby w przestrachu. — Maniu, co wy szepcecie? Czy wy może już odjeżdżacie? Żegnać się chcecie?

— Nie, nie ciociu! — i słodka, chłodna ręka odgarnia siwe włosy od skroni, jakby rada myśli smutne odgarnąć a twarz nachyla się nad łóżkiem z wyrazem młodej matki, przynoszącej niespodziankę dziecku. — Nie ciociu!... nie jedziemy!... słyszy ciocia? to jest tamci jadą jutro, a papa i ja zostaniemy: ja przy cioci, papa ze stryjem... stryjowi dobrze będzie z papą... prawda?

I wpół śmiejąc się i wpół płacząc, Mania całowała ręce, które, podczas gdy mówiła, złożyły się jakby do modlitwy.

— Dziękuję ci Kazimierzu! — wyrzekła pani Bońska... I dwie ciężkie łzy spłynęły wolno po policzkach. Zdawało się panu Kazimierzowi, że widzi głębię, z której się wydobyły. A Mania otarła je. I zaczęły się długie dnie walki między życiem a śmiercią.

. . . .

Już od tygodnia trwała choroba, przytomność bywała zupełna chwilami, wieczorami majaczenia, nieustanna wszakże apatya, która jak całunem śmierci coraz bardziej ją krępowała, niepokoiła najgorzej lekarzy.

Jednego dnia Mania wstała wcześniej jeszcze, niż zwykle, by przy chorej zluzować zakonnicę. Słońce jeszcze nie było zeszło i otwierając okno, patrzała w różowe chmurki,

zwiastujące świt, gdy przed bramą stanęła dorożka. Leniwo podniósł się z siedzenia młody człowiek, ubrany w długi angielski płaszcz: zapłacił dorożkarza, potem już stanąwszy na ziemi, dodał mu pieniędzy na napitek z kilkoma słowami, widocznie żartobliwemi, bo wywołały śmiech woźnicy, tak głośny, iż Mania w sobie zadrżała... „To Jan — półgłosem sama do siebie rzekła — wesołe wrażenia zrobiły mu moje telegramy“. I gniew i oburzenie z serca do ust cisnęły się słowem wzgardy... Na chwilę oczy zamknęła; potem się przeżegnała i znów w okno spojrzała... Młody człowiek wolno, kołysząc się, szedł za stróżem niosącym pakunki, ku drzwiom wchodowym.

Aż dotąd powieść jest wykończona. Dalsze ustępy zebrane z brulionów. Nie wiadomo, czy autorka chciała co więcej między nie włożyć, ani też nie wiadomo, jak chciała dalej powieść prowadzić i zakończyć.

Stała jeszcze chwilę — potem wyszła z pokoju. Już w korytarzu doszedł ją szmer głosów w sieni: słyszała głos Wincentego, przyciszony ale szorstki, nie przerywany pytaniami, które zadawał ciszej jeszcze głos jej nieznany... słyszała przyciszony też płacz Julii; usłyszała jeszcze otwierające się drzwi pokoju stryja... było wykrzyknięcie jego, ruch, jak gdyby ku niemu ktoś prędko podszedł — i głuche, ciężkie milczenie. Stała z ręką na klamce: serce jej się tłukło jak spłoszony ptak... Zapomniała o wzgardzie, która dopiero co ją całą wzburzyła; czuła tylko tu, za drzwiami, wielką nędzę postawioną wobec winy... A tą winą biedne stare serce rozdarte... wszystko zlało się w niej w niezmierną litość. Otworzyła drzwi, chwilę w nich się zatrzymując: z nią do ciemnawej sieni padł pierwszy brzask dnia.

Wprost przed sobą, przed niedomkniętemi drzwiami od schodów ujrzała tego, który dopiero co żartował z dorożka-

rzem: teraz był blady, prawie jak schorzały. Przed nim, bezwiednie zapewne, jak gdyby nie puszczając go dalej, stał stryj, z boku zachmurzony Wincenty i Julia z twarzą w chustce ukrytą...

Podeszła do stryja, ucałowała go w ramię, potem wyciągnęła rękę do Jana.

W tej chwili za blaskiem dnia pierwszy promień słońca wśliznął się do sieni i musnął złote włosy Mani...

— Może pójdzie do matki — rzekła, spoglądając na stryja. A promień nie schodził ze złotej główki tylko teraz jeszcze rozciągnął się na jasne oblicze.

Nie czekając na odpowiedź, kiwnęła na Jana i za sobą wprowadziła go do saloniku pani Bońskiej.

— Muszę ją trochę przygotować — rzekła Mania, zwracając się ku niemu. Lecz zamarły jej słowa na ustach na widok, który jej się przedstawił...

Jan był upadł na krzesło, twarz rękoma zakrył, wybuchnął głośnem łkaniem i mówił:

— Czego oni chcą odemnie!... cóż ja zrobiłem? cóż ja winien? — Jak dziecko, które się żali przed dawną swą niańką... Mówił, nie patrząc na nią i ocierając łzy raz po razie z óczu lecące: „Czyż i mnie nie ciężko zastać takie... takie“ — i znów Mania nie widziała twarzy w rękach schowanej.

— Mogłeś być na nie przygotowany i przyjechać zaraz po telegramie — mówiła, a obraz jego, żartującego z dorożkarzem i rozdrażnienie przeciw niemu podnosiło się w jej sercu i drgało w głosie.

— Jaki telegram? żadnego nie odebrałem. Wprost wyjechawszy stąd, jakiś szlachciura namówił mnie, bym jego stado pod samym Tarnopolem obejrzał: bestya klacz wycięła mnie kopytem i żebro złamała... Trzy tygodnie leżałem, a wczoraj wyjechałem — przecież... — i znowu głos i wargi zadrżały — przecież gdybym był wiedział, że mama... i chory byłbym przyjechał... We czwartek pierwszy raz doktór pozwolił mi wstać, a w piątek wyjechałem.

Mówił to tak poprostu, tak wydawał się chłopakiem prawie, z temi włosami w nieładzie a oczyma załzawionemi, że Mania prawie zniecierpliwiona wykrzyknęła:

— Czemużeś mi tego odrazu nie powiedział? Któż mógł przeczuć to wszystko?

— Nie dali mi do słowa przyjść, ten Wincenty i ta Julia... Nie mogłem zrozumieć co się stało, a jak zobaczyłem co z ojca się zrobiło, już nie mogłem... I znów rzucił głową jak w gniewie na siebie samego za to łkanie, za te łzy, które mu głos w gardle dławiły...

I tak: on siedział z łokciami na kolanach, z twarzą w rękach, a ona stała opodal, patrząc na niego i obracając w palcach kluczyki, gdy wszedł pan Kazimierz; miał niedobrych chwil wyraz na twarzy.

— Pan Jan zapewne! — wyrzekł, nie wyciągając ręki.

Równocześnie Jan wstał, Mania ku ojcu postąpiła z błagalnem wejrzeniem i gorącym rumieńcem.

— Nie, proszę papy! nie, on nic nie wiedział, chory leżał...

Szczęściem dla wszystkich wszedł i pan Antoni, krząkając:

— Prawda, prawda, nie przedstawiłem wam Jasia jeszcze: Jaś, nasz syn! Jasiu! to Kazimierz Boński i Mania, córka jego... tacy poczciwi — krząknięcie — tacy poczciwi... to jest że, jak mama, wiesz?... tak, tak...

— Tak zostaliśmy z twoimi rodzicami, by samymi nie byli.

— Ale proszę papy! — wtrąciła Mania. — On cały czas leżał w Tarnopolu.

— Co? co się stało?

— Nic się nie stało, stryju, kiedy ot jest... ale go koń uderzył.

— Mała rzecz — przerwał Jan. — Już zdrów jestem... ale telegramu żadnego nie odebrałem i o niczem nie wiedząc przyjechałem.

Mówił głosem obojętnym oparty o kominek, włosy ręką poprawiając, śladu już w nim nie było tego płaczącego chłopaka, którego Mania już za swego była przyjęła.

. . . .

Wlokły się dnie ciężkie i podwójnie ciężkie teraz. Bywały chwile, w których Mani się zdawało, że każdy z tych,

którzy ją teraz otaczają, po kawałeczku jej serca z sobą zabiera idąc z niem w innym kierunku, niż drudzy, tak, że nigdy się to serce już w całości nie odnajdzie.

Pan Kazimierz zachmurzony surowemi oczyma wodził za Jasiem, a Jaś niechętnie i sztywnie, jakby go nienawidził, z drogi mu schodził, tak inny, niż ten, którego ona zna...

Dziwny to był ich do siebie stosunek...

Jan dotąd nie spostrzegł, jak ona ładną, nie pomyślał o tem kim ona jest... co o nim sądzi, dlaczego wobec niej jest takim, jakim tylko przed sobą samym dotąd był... została tylko dla niego tem, czem okazała mu się w pierwszej chwili... czemś, co nie sądzi, nie pyta... przed czem można płakać, bo się nie zdziwi, ani rozczuli nieświadomie. Jak zwierzę skaleczone kryje się w cichy kąt, tak on od chwili powrotu swego skrył się w cień jej i ten cień stał mu się przyjacielem.

. . . .

Ciotka bez wzruszenia przyjęła Jana, jakby z drugiego pokoju był przybył... Witała go, gdy do łóżka się zbliżał, słabym uśmiechem: sama oznajmiła mu, że lekarz radzi jej spędzić zimę w Zakopanem...

— Kto wie? Może przyjdzie złożyć kości w tem Zakopanem, gdzie mi Bóg ciebie dał — dodała, gładząc włosy jego, czego od dawna nie czyniła.

I w tej chwili dziwne to na Jasiu wywarło wrażenie: rumieniec, purpurowy młody rumieniec oblał mu policzki, czoło, uszy, szyję; miał uczucie, że coś strasznego, jak świętokradztwo się dzieje, że nie powinny, nie! nie! nie powinny te blade, chude ręce głowy jego głaskać... Uchylał się pod ich dotknięciem... bał go się, a jednak, gdy je matka odjęła, zdawało mu się, że krzyknie... ale na nowo je dała. Byłby chciał wziąć je, ucałować i na nowo położyć na tej próżnej ciężkiej głowie swojej... zaledwo jak przez sen słyszał, że matka dalej mówiła:

— Ty i tak nie zechcesz tu zostać przez zimę, a nam starym wszystko jedno: czy tu, czy tam przezimujemy...

Dziwnie tego dnia wszystko na chłopca działało; jeszcze tamten rumieniec nie był zeszedł, a nowy, gorący, czuł już idący na czoło, jak gdyby mu ktoś coś zarzucał... jakaś trwoga o tę matkę ogarnęła go... jakaś litość nad tymi starymi, na których był przywykł już prawie nie zważać... I ta ręka na włosach jak dawniej, dawniej! i to wspomnienie Zakopanego, jak woń leśna zalatująca go w chwili, gdy najmniej się tego spodziewał...

Poszedł do pana Bońskiego: dyskutował żywiej, niż kiedykolwiek, o możliwości przezimowania w Zakopanem; raz chciał powiedzieć: „W tej dziurze!", ale coś go wstrzymało — uczucie, że jakaś żelazna garść chwyciła go i trzyma, w każdym ruchu i słowie jego rządzi; i po kwandransie zaproponował, że przynajmniej on naprzód pojedzie, aby się przekonać, czy możliwe jakie takie urządzenie się w Zakopanem, czy też nie lepiej byłoby matkę zawieść gdzieś do Mentony lub Meranu.

. . . .

— Przecież ten chłopiec jeszcze o nas dba — mówiła do męża pani Bońska ze łzami nie wstrzymanemi w oczach. — Ja ci mówię, Pan Jezus pomoże, już zaczyna pomagać.

— Może Bóg da, może Bóg się zmiłuje — odpowiadał pan Boński, nos ucierając. I jak zawsze na dobranoc pocałował żonę w rękę, a ona jego w czoło.

Tak się rozmaite sprawy ułożyły, że dopiero na kilka dni przed Bożem Narodzeniem Jaś wyjechał do Zakopanego. Nie był się otrząsł z owej garści, którą się czuł trzymany, i jadąc z Chabówki sankami, niewytłómaczone jakieś uczucie ogarniało go: sam siebie nie odnajdował... Wobec tych białych gór, pod które wolno jechał, daremnie usiłował się bawić wspomnieniami... Wszystko, co przez ostatnie lata tak go zajmowało, pociągało, cały ten Paryż i Trouville i Monte-Carlo i Wiedeń, stacye rozkoszy i wyścigi i dzienniki humorystyczne — wszystko to nagle straciło dla niego urok...

wydawało mu się chwilami, jakby mróz jakiś był zwarzył kwiaty, zmroził postacie. Te wszystkie twarze, których śmiech lub uśmiech bawił i czarował go samem wspomnieniem przed kilkoma jeszcze dniami, teraz mrozem ścięte, zamarłe, stawały przed nim straszne, jak twarze trupie uśmiechem wykrzywione...

Wiatr pogwizdywał wkoło uszów lub ponuro chwilami hucząc, przelatywał, a z nim pędziły zwrotki piosnek bulwarowych, aryetki rozuzdanych operetek... pędziły w szatańskim wirze, jak taniec szkieletów ze zamarłym na twarzy śmiechem. I pozbyć się ich nie mógł i marą mu ciążyły te piosnki, aryetki, martwe śmiechy, zaledwo na chwilę uciszone, i znów tym samym porządkiem, jak w gorączce, w gwiździe wichru piszczące, w wyciu jego pędzące.

Późno wieczorem zajechał przed dom, gdzie miał zamówione mieszkanie: zastał piec rozpalony, kolacyę wystygniętą, łóżko krótkie a pościel zimno-wilgotną. Jaś był synem swego czasu i wychowania, bardzo był drażliwy na niewygodę, a widząc w niej wyskok głupoty ludzkiej; w danym razie mogła go do wściekłości doprowadzić — położył się zatem w humorze co się zowie psim, ale daremnie było przewracać się, szukać snu: ten piec tak blizko buchający swędem i gorącem, to skrzypiące łóżko... Czy mogą być ludzie do tego stopnia głupi, jak ta gospodyni, stolarz, Zakopane całe, razem z tym starym doktorem, chcącym chyba tu matkę dobić...

. . . .

Czy on wreszcie był zasnął już, czy czuwał, nie wiedział, ale nagle dech mu w piersiach zaparło i serce młotem uderzyło: straszny huk jak grzmotu nie po niebie, lecz z nieba na ziemię lecącego, jakby morza wodospadem puszczonego, dom okolił, wstrząsnął nim, jak drzewem owocowem ręka ogrodnika trzęsie... zawył straszliwie w kominie i poleciał dalej.

„Halny wiatr!“ — głośno sobie chłopiec powiedział, aby uspokoić to nerwowe bicie serca, takie głupie!... Ale nie: ten dziki wiatr nie chciał, by się uspokoił; po chwili wyjący i żałosny chwycił go znów i niesie teraz małem dziec-

kiem daleko, daleko!... do tej ostatniej małej za Jaszczurówką chaty i drzwi przed nim otwiera, i w pogwiździe swym już nie aryetki niesie, lecz szepce tym słodkim a smutnym jak jęk głosem matki: „A cy tam Jasiek tez zmówił paciez, obaćcie kumo!“...

„Czy zmówił... czy zmówił!“... tej ostatniej nocy życia jej, matka konająca pytała... podczas gdy wicher, jak teraz tu, żałośnie wył. Chciał się chłopiec rozbudzić, siebie samego odnaleźć, wyrwać się z objęć tego wszechwładnego uczucia, które go ogarniało, jak choroba jaka... chciał powiedzieć sobie, że to wszystko sen i że z tego nigdy nic nie było, ale daremnie!... Znów jednem zawyciem halny wiatr go porywał i niósł, niósł, i znów tam w górę do tej chaty, do tego głosu matki...

Tak wichrem tym swoim cała potęga tatrzańskiej przyrody odebrane sobie przed laty chłopię dziś dziko potrząsała, z błota obmywała, a miłośnie tuląc je do swego łona, życie nowe w niem budziła, jak lwica swe lwiątko wrogom odebrane wstrząsa i szerokim, szorstkim językiem obmywa z krwi i błota i do życia przywołuje.

Nad rankiem wicher ucichł; a gdy Jaś otworzył okno, byłby mógł pomyśleć, ale nie pomyślał, że ta noc była tylko nocą gorączki. Świeży śnieg był upadł: od czasu do czasu nawracał jeszcze wicher, ale już słaby, a wtedy drzewa przechylające się sypały z siebie każde z osobna, jak puch, świeży śnieg. Nad leżącym, jak poległy w boju olbrzym, Giewontem, nad tem długiem pasmem gór, gdzieniegdzie dopiero muśniętych słońcem, błękit ciemny, równy, na krańcach zielonawy, rozpościerał się jak królewska kotara.

Nie! nie gorączka to była... Jaś wiedział, że nie. Jak ciężko chory czuje nieraz walkę ze śmiercią, tak on czuł i wiedział, że to coś co jest nad nim, w nim, wokoło niego w tej chwili, albo go zabije, albo wskrzesi!... Czuł ból jakiś niezmierny we wszystkich władzach duszy, ale czuł w nich też życie niezmierne budzące się — wszystko w nim jak tym wiatrem halnym porwane szumiało, jęczało, uginało i łamało się, a potem pieśń dotąd nieznaną śpiewało. Nikogo nie widząc, zapominając, że ma szukać pomieszkania,

wyszedł z domu i szedł ku górom; dawniej tu gościńca nie było, ale wiedział, że tędy schodził pogrzeb matki. Tam na dole wieś; jak garść bobu rozsypane domki, kościół, zakręt, gdzie ksiądz z chorągwiami wyszedł naprzeciw... szedł i szedł przed siebie... Z smreków cicho jak we śnie zesypywał się śnieg; od czasu do czasu cicho też jak widzenie przelatywały saneczki po drzewo jadące, o jednym górskim koniku, pamiętał, że zwą je „gnatkami“; srebrzyły się w słońcu wirchy; było cicho, jasno, uroczo pod tem szafirowem niebem, jakby w przededniu wielkich godów...

Szedł chłopiec, nie chcąc pytać o nic, boć i nie wiedział gdzie chce iść; o co by pytał — pił powietrze, słońce, zdawało mu się, że żyć zaczyna... Stawał i patrzał i w myśli chaos powstawał i chciał go przedrzeć i zdawało mu się, że świat w tej chwili stoi na pytaniu: czy to serce matki przeczuwało, czy nie, że on tak długo, długo, długo pacierza mówić nie będzie, i nie ruszał ramionami na własne szaleństwo; ale wytłómaczyć sobie nie umiał. Tak szedł i szedł nie licząc, szedłby w nieskończoność, gdyby nie był uczuł wreszcie, że ustaje, że mu sił brak... Usiadł na kamieniu i spojrzał wkoło. Słońce było się już za górę schowało, zarzucając złocistą przejrzystą oponę na leżącą postać Giewonta, od której serca, myśli i ócz oderwać nie mógł; o każdej godzinie coraz inny a coraz wspanialszy, tajemniczy, jak sfinks egipski, teraz, gdy patrzał chłopiec na niego, już nawet nie pamiętał, że to góra — patrzał, jak na posąg, a raczej jak na zmarłą postać istoty kochanej, istoty przez niego ukrzywdzonej... istoty, która w martwocie swej sędzią jego być ma!

Znużony się uczuł nagle wszystkiem, jak ktoś, którego życie opuszcza, zwrócił się przeto ku domowi. Chciał się jeszcze otrząść i zanieść list matki państwu Ignacym, ale nie mógł. Przyszedłszy do domu, wypił szklankę mleka tylko, rzucił się ubrany na łóżko i zasnął, jak się zasypia w 24 roku życia po wzruszeniu i zmęczeniu.

. . . .

Obudził go gwar ludzkich głosów i kroków... W arterze ruchu zakopańskiego pełno było górali, góralek, gości

spieszących, idących, wracających, śnieg skrzypiał pod nogami, saneczki się zwijały, słońce oblewało śnieg, śnieg olśniewał gorzej słońca... a Giewont leżał w chwale swej czuwający.

Chłopiec się ubrał i wyszedł, w chwili gdy gospodyni sień w morze przemieniła, a w morzu stały półki, garnki, ławki, krzesła.

— Co się dzieje dziś? — zniecierpliwiony zapytał. — Powaryowaliście tu wszyscy na dziś?

— Ano, proszę piknie pana, toć to zawsze na Wigilię porządki się wsędzie robią!

— Na Wigilię? a kiedyż Wigilia?

Popatrzyła kobieta, z klęczącej w siedzącą na własnych piętach postawę zmieniając i zaświeciła dwoma rzędami zębów w szerokim śmiechu.

— A dyć dzisiaj! A skądze to pon jechał, ze sobie wsystko tak w ćmę pomieniał? A dyć dzisiaj sobota, a jutro Boze Narodzenie i niedziela... A to tyle roboty, a dopierom ino zacęła.

I rękawy lepiej podkasawszy, wróciła do szurowania podłogi, fale wody spędzając ku drzwiom.

Boże Narodzenie! Dla niego w tem słowie ni wspomnień, ni wzruszeń nie było: poszedł dalej i udał się do państwa Ignacych. Nie w lepszem był dotąd usposobieniu: ów halny wiatr w duszę mu się wkradł, burzył jej spokój, burzył wszystko co w niej ostatnie lata złożyły, a dodatniego nic nie odsłaniał... było mu ciemno, straszno w duszy, w sercu pusto, a w myśli dalej jak we śnie przez tysiące niepotrzebnych, głupich zagadnień; daremnie usiłował uchwycić jedno obecnie potrzebne: od czego zacząć, aby domek w lesie uczynić dla matki wygodnym? zdrowym?

Państwo Ignacowie mogli być najmilszymi staruszkami, ich syn i synowa najsympatyczniejszymi ludźmi, jakich znał, nawet linia głowy Mani z tym ogromnym węzłem włosów nizko spiętym nad karkiem, mogła łączyć się z linią szyi i ramion konturem cudownej czystości, mogły być w jej śmiechu srebrne dźwięki, z których ani jednego nie stracił... On to wszystko mógł odczuwać, ale tego dzi-

wnego swego ciężaru ani się nie pozbył, ani doszedł — czem on był.

Opłatek, kolendy nie miały dla niego wspomnień, przeszły obok niego nie tknąwszy go; gdy później spytano go, czy pojedzie z nimi na Pasterkę, zaledwie wiedział, o czem mówią i kiedy i co się to ma odbyć, ale chętnie przystał, bo ostatecznie cóż lepszego miał do czynienia? A pomimo wszystkiego u tego stołu Wigilii, i pomiędzy tymi ludźmi było mu dobrze...

. . . .

Czterema saneczkami w noc cichą, gwiaździstą, jechał na Pasterkę ze wszystkiem, co żyło w domu państwa Ignacych, bo i Terenią, w białe futerko otuloną, do kościoła, raczej do malutkiej zakrystyi, gdzie wszyscy zaledwo pomieścić się mogli, ale gdzie dla niej wygodne krzesło przygotowane było. Za wszystkimi stał Jaś: widział ołtarz żarzący się światłem żółtych świec, pomiędzy pstrokacizną robionych kwiatów, przy ołtarzu starego proboszcza w krótkim ornacie; słyszał drżący głos jego, mięszający jakąś nieuchwytną nutę góralską do śpiewanych słów Mszy św., słyszał pisk w głosach, które intonowały kolędę: wszystko i wszystko, co rozum, smak dobry wytykał mu szyderstwem, jednak dostawało się dziwnym sposobem aż do wnętrza serca, podnosiło serce jakby falą szczęścia nieznanego. Czy może on to dzieckiem słyszał? Co to jest, co go porywa? z czem dusza jego leci? Czy to pierwszy raz słyszy, że:

I króle widziani
Cisną się między prostotą,
Niosąc dary Panu w dani...

że tak nagle ogarnia go poczucie ubóstwa swego, że tak radby i on coś dać... Komu? Księdzu? Panu Bogu? Co się z nim dzieje od tych kilku dni?...

Był pochylił głowę — podniósł ją, stał oparty o krawędź szafy, choć wszyscy klęczeli; stał tak, ale nie mógł nie słyszeć jak śpiewali:

Podnieś rękę, Boże dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj siły jej Twą siłą;
Dom nasz i majętność całą,
I Twoje wioski z miastami,
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami!

Słyszał to, i płakać i krzyczeć mu się chciało, że nie umie śpiewać, jak ci biedacy śpiewają, że nie może się uśmiechać, jak mu się uśmiechnęła Terenia, gdy wychodząc z zakrystyi, wyciągnęła ku niemu palce w wodzie święconej umaczane.

Pożegnał się z nimi wszystkimi przed kościołem... Szedł potem powoli: śnieg skrzypiał pod nogami, wymijali go górale z dziećmi w białych cuchach, w takich, jak ta jego, w którą — pamiętał, że w niedzielę — ubierała go matka, a którą on z taką radością później nosić przestał.

Gwiazdy migotały, pod niemi Giewont jak cień z przeszłości bielał w oddali i nagle, jakby z ziemi, wkoło niego powstały ściany chaty góralskiej... stanął w niej stryjko zapalający fajkę i gazda sąsiad; jak nocny ptak skrzydłem musnęły go koło uszów słowa: „Et, co ty tam zrozumies! gazda mówi, ze na Giewoncie cośby ta dzwonić miało kane święto — hań w góze, jak i w kościele“.

„Dzwoni kane święto hań w góze, jak i w kościele“.

Co za głupstwo, co za głupstwo, żeby te słowa jemu dzwoniły w uszach, we śnie i na jawie, i nie inaczej tylko tym akcentem góralskim: „Hań! w góze, jak i w kościele — hań w góze! hań w góze!“

Dzwoniło w kościele nazajutrz od rana, to pewno! Gwarno było na ulicy, przed chatami, wszędzie gwarno, strojno, pstro; oczy bolały od słońca, od czerwonych chustek, białych cuch. Dzwonią, dzwonią, dzwonią, a „hań w góze jak w kościele!‘, *„C'est une obsession!“* — mówi chłopiec i ubiera się, łamiąc spinki w dziurkach krochmalonej koszuli i szarpiąc krawatkę; wyszedł i skierował kroki do państwa Ignacych.

„Ach, oni pewnie znów polecieli do kościoła!“ — pomyślał i szedł dalej. „Hań w góze, jak i w kościele dzwoni kane święto... hań w góze, hań w góze“... szło z nim, leciało, mnożyło się, pchało go, wyścigało, wracało, u góry podnosiło się z dołu, błyszczało w każdej iskrze śniegu...

A Giewont?

Giewont leży w chwale swej, „hań w góze jak i w kościele“: „Chodź, chodź, chodź! hań w góze kane święto, jak i w kościele“... I szedł, szedł, szedł coraz wyżej; już daleko za wsią, lasem, Kuźnicami; już przed sobą nie widzi Giewonta, bo wchodzi na niego... Ścieżka pusta go prowadzi; w uszach chwilami wiatr poszumi, i znów „hań w góze, jak w kościele“...

Nagle stanął... Oczy szeroko mu się rozwarły, potem przymknęły jak u człowieka, którego siły opuszczają; oparł się o kamień i potem zwolna na kolana usunął i twarz rękoma zakrył. Zdawało mu się, że nad nim całe sklepienie niebios się poruszyło: jak struny jakieś powietrzne ożyły pod tchnieniem wiatru, i wreszcie od jednego krańca widnokręgu do drugiego rozbrzmiało dzwonienie; jak fale na morzu goniące jedna drugą, tak dźwięki biegły, wzmagały się, w rytm układały i dzwoniły, jedna w drugiej znikając, i rozlatywały się miliardami pojedyńczych, srebrnych nut przed nowemi, które znów biegły, dzwoniły, z sobą się łączyły i leciały dalej. Była chwila, iż zdawało mu się, że dusza go opuszcza i leci za niemi... wcisnął jeszcze głowę w ręce, ściskające skronie jakby mu pęknąć miały, i zwolna głowa ta ku ziemi się pochylała, aż na niej spoczęła. I tak o ziemię powalony leżał, a w duszy z tych rozsianych nad nim dźwięków obraz wieków powstawał... widział i rozumiał je: były to dzwony Kościoła Chrystusowego i dzieło tego Chrystusa teraz wpijało się w jego duszę siłą nieprzepartą... rozumiał dzieje grzechów ludzkich i miłosierdzia Bożego... rozumiał wielką jedność dzieci Bożych, które dzwony te witały i żegnały na ziemi... rozumiał błogosławieństwo, które głosiły... widział, wierzył, miłował wszystko, o czem dotąd nigdy nie pomyślał, o co nigdy nie pytał — te dzwony go tego nauczyły. I zdało mu się, że więcej jeszcze zlewają się w jeden

hymn dziękczynny, a z chóru wydobywa się dźwięk jeden potężny i bije, jak słyszał „Zygmunta“ bijącego, i ten znów o nim mówi, o kraju, od którego uciekał, o którym nigdy nie pomyślał, którego nigdy zrozumieć się nie starał... i tonie znów wielki ten głos w harmonii niebieskiego chóru... I znów na tle tem przedziwnem występuje głos pojedyńczy — czy pojedyńczy? I echo mu wtóruje: czy dwa razem dzwonią? On nie wie, ale głowa niżej jeszcze w ręce i do ziemi się wtula, jakby łzy jakieś chciał ukryć. On wie, on znów wie, z taką pewnością, jak wiedział co tamte dzwony mu mówiły, że te to dzwoniły nad grobem matki — a to echo? czy dzwon drugi? to ten, za którego głosem dzień po dniu, ta, która mu dziś matką, idzie i u nóg Pana błaga dla niego o łaskę opamiętania... I znów jak duchów głos tych dzwonów się oddala... niknie, łączy się z chórem, jak chmura z chmurą i wszystko razem dzwoni jeszcze, płynie, i gdzieś wysoko ulatuje.

. . . .

Klęczał jeszcze chłopiec i ruszyć się nie śmiał; wreszcie podniósł się na kolana, z oczami, których nie miał odwagi otworzyć, ale z których dwa strumienie łez płynęły... Wielkim znakiem krzyża się przeżegnał, jak matka go uczyła, złożył ręce i głośno zmówił: „Ojcze nasz“. Potem na nowo głowę do ziemi pochylił i zaszlochał, powtarzając: „Boże dziękuję! Boże, przebacz!“...

SPIS RZECZY

Str

Przedmowa 3
I. Pobijacz Dachów 33
II. Legenda jakich ludzie mało, Bóg wiele zna 49
III. Wołowe oczko 52
IV. Wigilia Nowego Roku 1868 55
V. Z roku 1870 55
VI. Rozmowa ze starym dębem w Krościenku 5 października 1881 r. 57
VII. Co mi się marzyło ostatniej nocy spędzonej w willi Leis, w Gries, 1901 r. 59
VIII. Państwo Bońscy 61

OMYŁKI DRUKU

Str.	*wiersz*	*zamiast*	*powinno być*
8	5 od dołu	Defforet	Deffore1
11	13-14 od góry	w Bruchnale	w Bruchnalu
77	7-my: dwa razy wydrukowano „przypominał sobie"		